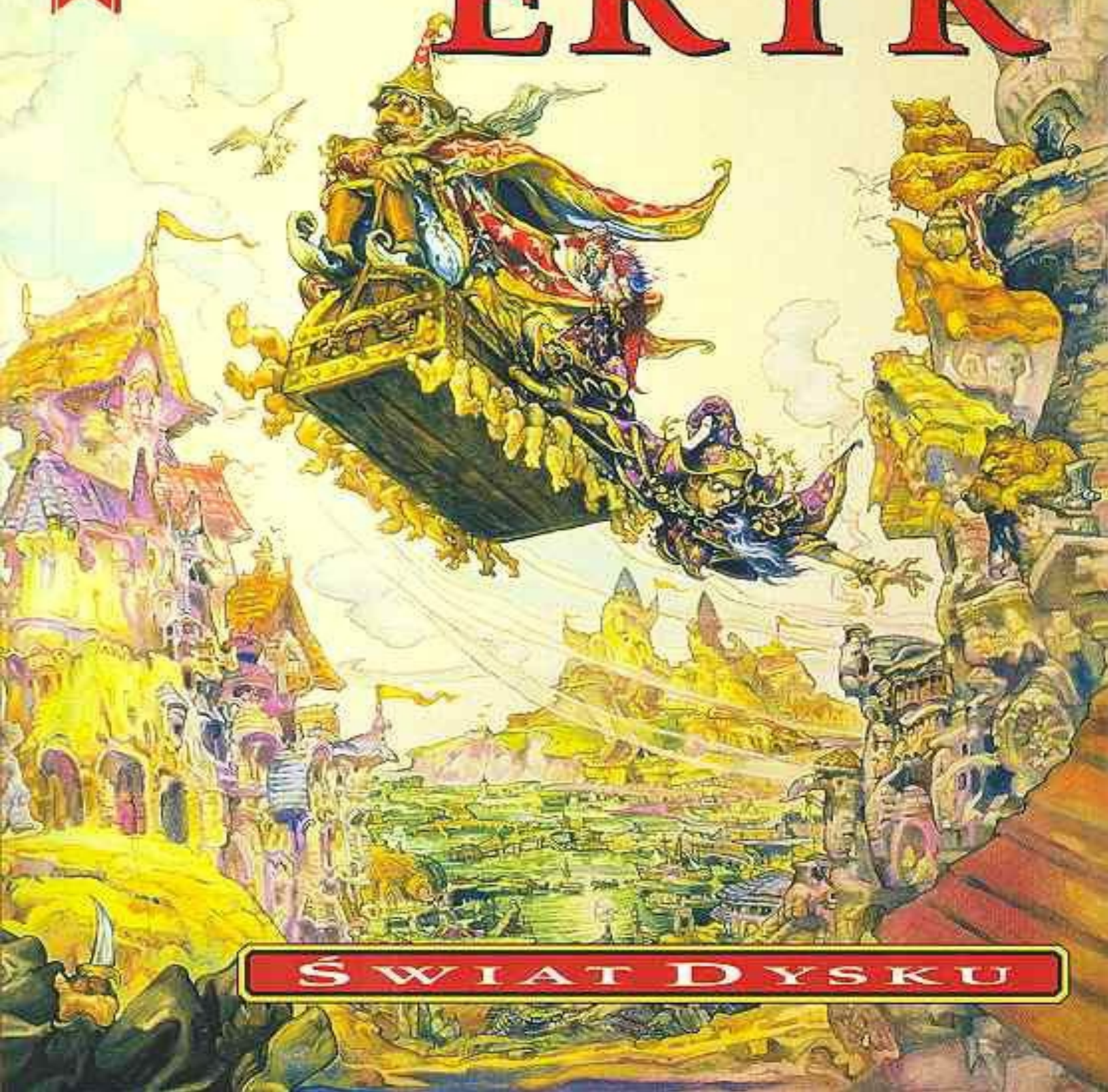


Prószński i S-ka

TERRY PRATCHETT

FAUST

ERYK



ŚWIAT DYSKU

TERRY PRATCHETT

“ERYK”

przełożył Piotr W. Cholewa

pszczoły Śmierci są wielkie i czarne; brzęczą nisko i posepnie, a miód przechowują w plastrach z gromnicznie białego wosku. Miód jest czarny jak noc, gęsty jak grzech i słodki jak melasa. Powszechnie wiadomo, że osiem kolorów wspólnie tworzy biel. Ale istnieje też osiem barw czerni dla tych, co potrafią je zobaczyć; ule Śmierci stoją na czarnej trawie w czarnym sadzie, pod obsypanymi czarnym kwieciami gałęziami starych drzew, które kiedyś wydadzą jabłka, a te.... ujmijmy to w ten sposób... zapewne nie będą czerwone.

Trawa została krótko przystrzyżona. Kosa, która dokonała tego dzieła, stała teraz oparta o pień gruszy. Śmierć zaglądał do uli i swoimi kościstymi palcami delikatnie podnosił plastry.

Kilka pszczoł fruwało dookoła. Jak wszyscy pszczelarze, Śmierć nosił siatkę. Nie dlatego, że miałyby coś nadającego się do użądlenia, ale czasem pszczoła wlatywała mu do czaszki i brzęczała głośno, a od tego dostawał migreny.

Uniósł właśnie woskowy plaster do szarego światła, gdy nagle najłżejszy dreszcz przeszył jego niewielki świat pomiędzy rzeczywistościami. Zaszumiało w ulu...opadł liść. Strzęp wiatru dmuchnął przez sad, co było rzeczą niezwykłą, ponieważ nad ziemią Śmierci powietrze zawsze jest ciepłe i nieruchome

Śmierci zdawało się, że słyszy, przez moment tylko, odgłos biegnących stóp i głos mówiący...nie, głos myślący *dolichadolichadolicha, zginę tu, zginę tu ZGINE!*

Śmierć jest prawie najstarszą osobą we wszechświecie; jego torów myślenia i przyzwyczajień człowiek śmiertelny nie zdoła nawet zacząć pojmować. Ale

że jest także dobrym pszczelarzem, starannie umieścił plaster w ramie i zasunął pokrywę ula. Dopiero wtedy zareagował.

Ruszył przez mroczny ogród domu, zdjął siatkę ochronną, starannie usunął kilka pszczoł, które zbłądziły w głębinach mózgoczaszki, a następnie udał się do gabinetu.

Kiedy siadał za biurkiem znowu dmuchnął wiatr. Zagrzechotały klepsydry na półkach, a korytarzu wielki zegar z wahadłem przerwał na krótką chwilę swoje nieskończone dzieło rozcinania czasu na fragmenty rozsądnej wielkości

Śmierć westchnęła i skupił wzrok.

Nie ma takiego miejsca, do którego Śmierć nie mógłby się udać; nieważne, jak jest dalekie czy niebezpieczne. A nawet, im bardziej jest niebezpieczne, tym bardziej prawdopodobne, że Śmierć już tam jest.

Teraz spoglądał przez opary czasu i przestrzeni.

AHA, rzekł. TO ON.

Trwało gorące popołudnie późnego lata w Ankh-Morpork, zwykle najbardziej ruchliwym, najbardziej gwarnym, a przede wszystkim najbardziej zatłoczonym mieście na Dysku. Włócznie słonecznych promieni osiągnęły to, co nie udało się niezliczonym najeźdźcom, kilku wojnom domowym i godzinie milicyjnej. Spacyfikowały teren.

Psy dyszały ciężko w parzącym cieniu. Rzeka Ankh, która nigdy się, jak to mówią, nie skrzyża, teraz ciekła między nadbrzeżami, jakby żar wyssał z niej wszelki zapach. Ulice były puste i rozpalone jak piec.

Żadni wrogowie nie zdobyli jeszcze Ankh-Morpork. To znaczy

owszem, formalnie tak, nawet dość często. Miasto chętnie witało szastających pieniędzmi barbarzyńskich najeźdźców, a ci po kilku dniach odkrywali ze zdumieniem, że ich własne konie już do nich nie należą, a po paru miesiącach stawali się kolejną mniejszością etniczną, charakteryzującą się własnym stylem graffiti i własnymi sklepami spożywczymi.

Ale upał obległ miasto i zdobył mury. Leżał na drżących ulicach jak całun. Pod słonecznym promieniem skrytobójcy byli zbyt zmęczeni, by zabijać. Gorąco zmieniało złodziei w uczciwych obywateli. W porośniętych bluszczem ścianach Niewidocznego Uniwersytetu, głównej uczelni magicznej, mieszkańcy drzemali, ocieniając twarze szpiczastymi kapeluszami. Nawet muchy były tak wyczerpane, że zrezygnowały z obijania się o szyby. Miasto leżało w sjeście, oczekując zachodu słońca i krótkiej, gorącej, aksamitnej ulgi nocy.

Jedynie bibliotekarz zachował chłodny umysł. Ponadto bujał się i zwisał.

To dlatego, że w jednej z piwnic uniwersyteckiej Biblioteki umocował kilka lin i obręczy – w pomieszczeniu, gdzie trzymano książki, hm...erotyczne*. W kadziach kruszonego lodu. A on sennie kołysał się nad nimi w chłodnych oparach.

Wszystkie księgi magiczne żyją własnym życiem. Niektórym co bardziej energicznym nie wystarcza przykucie łańcuchem do półki: trzeba je przybijać albo zamykać między stalowymi płytami. Czy też, w

* Tylko erotyczne. Żadnych dewiacji. Różnica jest taka jak między użyciem piórka a użyciem kurczaka.

przypadku tomów poświęconych seksowi tantrycznemu dla poważnych koneserów, trzymać w lodowatej

wodzie, by nie wybuchły płomieniem i nie przypaliły szarych, gładkich okładek.

Bibliotekarz huśtał się wolno tam i z powrotem nad kipiącymi kadziami.

Drzemał.

Nagle jak znikąd rozległy się kroki, z dźwiękiem drapiącym nagą powierzchnię duszy przebiegły po podłodze i zniknęły za ścianą. Zabrzmiały cichy, daleki wrzask, który brzmiał jako *bogowieobogowie, to JUŻ zginę*.

Bibliotekarz obudził się, rozluźnił chwyt i runął w kilka cali letniej wody – jedynej tarczy, jaka broniła “Rozkosze tantrycznego seksu dla zaawansowanych z ilustracjami” autorstwa Damy od samozapłonu.

Gdyby był istotą ludzką, źle by się to dla niego skończyło. Na szczęście obecnie był orangutanem. Wobec ilości magii przelewającej się wokół Biblioteki, dziwne by było, gdyby od czasu do czasu nie zdarzały się wypadki. Jeden szczególnie spektakularny zmienił go w małpę. Niewielu ludzi ma szansę opuścić ludzką rasę i żyć nadal, więc od tej pory opierał się stanowczo wszelkim próbom przemiany powrotnej. A ponieważ żaden inny bibliotekarz nie potrafił zdejmować książek stopami, władze uczelni nie naciskały.

Oznaczało to również, że jego wizja atrakcyjnego żeńskiego towarzystwa przypominała worek masła przeciągnięty przez kłęb starych dętek. Miał więc szczęście i wykpił się jedynie lekkimi poparzeniami, bólem głowy i dość ambiwalentnymi uczuciami wobec ogórków, co jednak przeszło mu do podwieczorku

W bibliotece na górze grimoire’y * trzeszczały lekko i szeleściły w zdumieniu stronicami, gdy niewidzialny biegacz przenikał przez regały, aż zniknął, a raczej zniknął jeszcze bardziej...

Ankh-Morpork z wolna budziło się z drzemki. Coś niewidzialnego i wrzeszczącego ile tchu w piersi przebiegło przez kolejne dzielnice miasta, pozostawiając za sobą pasmo zniszczenia. Gdziekolwiek przeszło, rzeczy się zmieniały

Przy ulicy Chytrych Rzemieślników wróżka usłyszała kroki na podłodze swej sypialni i odkryła, że jej kryształowa kula zmieniła się w szklaną sferę z

domkiem we wnętrzu. I płatkami śniegu.

W spokojnym kąciku tawerny Pod Załatany Bębem, gdzie poszukiwaczki przygód Herrena Hennowłosa Herridan, Ruda Scharron i Diome, Wiedźma Nocy, spotkały się na ploteczki i partyjkę kanasty, wszystkie drinki zmieniały się w małe żółte słoniki.

- To przez tych magów z Uniwersytetu – stwierdził barman, pośpiesznie zmieniając kielichy – Powinno się im zabronić.

-

Północ spłynęła z zegara.

- Magowie z rady przetarli oczy i popatrzyli sennie po sobie. Oni też uważali, że powinno to być zabronione, zwłaszcza że nie oni na to pozwolili. Wreszcie nowy nadrektor, Ezrolith Churn, stłumił ziewnięcie, wyprostował się w fotelu i spróbował przyjąć odpowiednio godny wygląd. Wiedział, że właściwie nie nadaje się na nadrektora. Nie chciał nim zostać. Miał dziewięćdziesiąt osiem lat i osiągnął ten szacowny wiek konsekwentnie nie sprawiając nikomu kłopotów i nie będąc nikogo zagrożeniem. Miał nadzieję, że swe ostatnie lata poświęci na dokończenie siedmiotomowego traktatu o “Pewnych mało znanych aspektach kuiańskich rytuałów przyzywania deszczu”. W jego opinii był ot temat idealny dla akademickich badań, jako że rytuały te działały jedynie na Ku, który to kontynent kilka tysięcy lat temu został pochłonięty przez ocean **. Problem w tym, że ostatnio średnia długość życia nadrektora uległa pewnemu skróceniu. W rezultacie naturalna u magów ambicja zdobycia tego stanowiska ustąpiła dziwnej skromności i uprzejmości. Pewnego dnia Ezrolith Churn zszedł na dół i zauważył, że wszyscy zwracają się do niego “sir”. Dopiero po kilku dniach zorientował się dlaczego. Głowa go bolała. Miał uczucie, że od tygodni nie kładł się do łóżka. Ale coś musiał przecież powiedzieć.
 - Panowie... – zaczął.
 - Uuk.
 - Przepraszam. I małpy...
 - Uuk!

- Znaczy: człekokształtne, ma się rozumieć...
- Uuk.
- Nadrektor w milczeniu kilkakroć otworzył i zamknął usta, próbując rozplątać wątek swoich myśli. Bibliotekarz był z urzędu członkiem rady naukowej. Nikt nie znalazł prawa wykluczającego orangutany z udziału w posiedzeniach, choć po kryjomu wszyscy pilnie go szukali.* Księgi z czarami do wywoływania duchów** Potrzebował trzydziestu lat, by zatonać. Mieszkańcy przez długi czas brodzili w wodzie. Sprawa ta przeszła do historii jako najbardziej krępująca katastrofa kontynentalna multiversum.
 - To nawiedzenie – wysunął hipotezę nadrektor – Może jakiś typ ducha. Wymaga dzwonu, świecy i księgi.
 - Próbowaliśmy tego, sir – westchnął kwestor.
- Nadrektor pochylił się ku niemu.
 - I co ?
 - Mówiłem, że już próbowaliśmy! – powtórzył głośniejszym głosem kwestor, prosto w nadrektorskie ucho – Po kolacji. Pamiętasz? Użyliśmy “Imion mrówek” Humptempera i zadzwoniliśmy Starym Tomem*
 - Tak było? Rzeczywiście? I podziałało, co?
 - Nie, nadrektorze.
 - Co?
 - Zresztą nigdy wcześniej nie mieliśmy kłopotów z duchami – wtrącił najstarszy wykładowca. – Magowie po prostu nie nawiedzają swojej uczelni.
 - Nadrektor szukał choćby strzępka otuchy.
 - A może to całkiem naturalne zjawisko? Może szum podziemnego źródła? Ruchy ziemi? Coś w rurach kanalizacyjnych? Czasem wydają takie dziwne odgłosy, zwłaszcza kiedy wiatr wieje w odpowiednią stronę.
 - Rozpromieniony, oparł się wygodnie. Pozostali członkowie rady porozumieli się wzrokiem.
 - Rury nie brzmią jak biegnące stopy – wyjaśnił znużony kwestor.
 - Chyba że ktoś nie dokręcił kranu – zauważył najstarszy wykładowca.

- Kwestor zmarszczył groźnie brwi. Siedział akurat w wannie, kiedy przez pokój przebiegło to niewidzialne i krzyczące zjawisko. Było to doświadczenie, jakiego wolałby nie przeżywać ponownie. Nadrektor pokiwał głową.
 - A zatem mamy rozwiązanie – rzekł i usnął.
 - Kwestor przyglądał mu się przez chwilę. Potem zdjął mu kapelusz i delikatnie podłożył pod głowę.
 - No tak... – mruknął. – Czy ktoś ma jakieś propozycje?
 - Bibliotekarz podniósł rękę.
 - Uuk – powiedział.
 - Brawo, świetna myśl – pochwalił szybko kwestor. – Czy jeszcze ktoś?
 - Orangutan spojrzał na niego z niechęcią, a pozostali magowie zgodnie pokręcili głowami.
 - To drzenie osnowy rzeczywistości – stwierdził najstarszy wykładowca.
 - A co powinniśmy z tym zrobić?
 - Nie mam pojęcia. Chyba, że spróbujemy pradawnego...
 - Nie przerwał mu kwestor. – Nie mów tego. Proszę, jest zbyt niebezpieczny...
- Słowa przeciął krzyk, który zaczął się w kącie pokoju i z dopplerowskim przeskokiem wysokości przesunął się wzdłuż stołu. Towarzyszył mu odgłos wielu biegnących nóg. Magowie rozpięzchli się wśród trzasku wywracanych krzeseł.
- Płomyki świec wyciągnęły się w długie, wąskie języki oktarynowego światła, po czym zgasły. Potem zapadła cisza – szczególna cisza, z tych, które następują po naprawdę drażniącym dźwięku.
 - No dobrze – zdecydował kwestor. – Poddaję się. Spróbujemy Rytuału AshkEnte.
- - To najpoważniejszy rytuał, jaki może odprawić ośmiu magów. Przyzywa śmierć, która oczywiście wie
 - o wszystkim, co się dzieje wszędzie. I oczywiście wykonuje się go raczej z oporami, ponieważ starsi magowie są zwykle bardzo starzy

i raczej wolą nie zwracać na siebie uwagi Śmierci. Rytuał miał zostać odprawiony nocą, a w Głównym Holu Uniwersytetu, wśród obłoków kadzidła, świec, runicznych inskrypcji i magicznych kręgów. Nie były one niezbędne, ale magowie lepiej się z nimi czuli. Jaśniała magia, zaklinano zaklęciami i stanowczo inwokowano inwokacje. Magowie spoglądali wyczekująco we wciąż pusty czarnoksięski oktagon. Po chwili stojące kręgiem postacie w długich szatach zaczęły mruczeć coś między sobą.

- Musieliśmy coś pomylić.
- Uuk.
- Może gdzieś wyszedł?
- Albo jest zajęty...

•

- * Stary Tom był pękniętym spiżowym dzwonem, jedynym na uniwersyteckiej dzwonnicy. Serce wypadło mu wkrótce po odlaniu, ale nadal co godzinę wybijał wspaniałe dźwięczne milczenia
 - Może lepiej to przerwać i iść do łóżka?
- A NA KOGO WŁAŚCIWIE CZEKACIE? Kwestor obejrzał się wolno na swego sąsiada.
- Szatę maga zawsze łatwo rozpoznać. Jest obszyta cekinami, klejnotami, futrem i koronką, a wewnątrz ma zwykle sporą ilość maga. Jednak ta szata była całkowicie czarna. Materiał wyglądał, jakby wybrano go ze względu na wytrzymałość. Podobnie jego właściciel. Gdyby napisał książkę o dietach stałaby się bestsellerem.
- Śmierć obserwował oktagon z wyrazem uprzejmego zainteresowania.
 - Ehm... – wyjąkał kwestor. – Rzecz w tym, że tak naprawdę, tego, powinienes być wewnątrz...
- BARDZO PRZEPRASZAMŚmieć przeszedł z godnością na środek i spojrzał pytająco na kwestora. MAM NADZIEJĘ, ŻE NIE BĘDZIEMY JUŻ WRACAĆ DO TEGO “OHYDNEGO CIENIA”, rzekł
 - Nie przerwaliśmy ci chyba żadnego ważnego zajęcia? – spytał grzecznie kwestor
- MOJA PRACA ZAWSZE JEST WAŻNA.
 - Naturalnie.
- DLA KOGOŚ.

- Ehm...ehm... Przyczyna, ohyd...sir, dla której cię tu wezwaliśmy, to jest...
- TO RINCEWIND.
- Co?
- PRZYCZYNA, DLA KTÓREJ MNIE WEZWALIŚCIE. OPOWIEDŹ BRZMI: TO RINCEWIND.
- Przecież nie zadaliśmy jeszcze pytania!
- NIE SZKODZI. ODPOWIEDŹ BRZMI: TO RINCEWIND.
- Posłuchaj, chcemy się dowiedzieć, co powoduje te dziwne...aha
- Śmierć z godnością strzepnął niewidoczny pyłek z ostrza kosy. Nadrektor przyłożył do ucha pomarszczoną dłoń.
- Co on powiedział? Kto to jest ten z kijem?
 - To Śmierć, nadrektorze – wyjaśnił cierpliwie kwestor.
 - Co?
 - Śmierć, sir. Wiesz przecież.
 - Powiedz mu, że niczego nie chcemy – odparł starzec, machając laską.
- Kwestor westchnął.
- Ale my go tu wezwaliśmy, nadrektorze.
 - Tak? A po cóż mielibyśmy to robić? Bardzo nierozsądne posunięcie.
- Kwestor spojrzał na Śmierć i uśmiechnął się z zakłopotaniem. Niewiele brakowało, a przeprosiłby za zachowanie nadrektora, tłumacząc je podeszłym wiekiem. Uświadomił sobie jednak, że w danej sytuacji jest to całkiem zbędne.
- Czy mówimy o magu Rincewindzie? Tym, co miał...- Kwestor zadrżał – Miał ten okropny Bagaż na nóżkach? Ale przecież wyleciał w powietrze podczas tej historii z czarodzielem...*
- WYLECIAŁ DO PIEKIELNYCH WYMAIRÓW. A TERAZ PRÓBUJE WRÓCIĆ DO DOMU.
- Czy to możliwe?
- TYLKO PRZY NIEZWYKŁEJ KONIUNKCJI OKOLICZOŚCI. RZECZYWISTOŚĆ MUSIAŁABY ZOSATĆ OSŁABIONA NA KILKA NIEOCZEKIWANYCH SPOSOBÓW.

- Mała szansa, żeby się to zdarzyło, prawda? – spytał nerwowo kwestor.
- Ludzie twierdzący że przez dwa miesiące przebywali z wizytą u ciotki, zawsze się denerwują na myśl o ludziach, którzy mogą się zjawić i omyłkowo uznać, że tamci wcale u niej nie przebywali. A w wyniku złudzenia optycznego może im się nawet wydawać, że widzieli, jak ci pierwsi robią pewne rzeczy, których w żaden sposób robić nie mogli, ponieważ właśnie byli u ciotki.
 - SZANSA JEDNA NA MILION, stwierdził Śmierć.
DOKŁADNIE JEDNA NA MILION- Och – westchnął z ogromną ulgą kwestor. – Ojej... Co za pech...- Poweselał wyraźnie. – Oczywiście, ten hałas trochę przeszkadza. Ale, na nieszczęście, nie pożyje on tam chyba za długo.* Kwestor napomknął tu o ponurym okresie, kiedy to z winy Uniwersytetu niemalże nastąpił koniec świata, a nastąpiłby z pewnością, gdyby nie ciąg wydarzeń, w których uczestniczyli Rincewind, latający dywan i połówka cegły w skarpecie (por. "Czarodzieicielstwo"). Cała ta sprawa była dość krępująca dla magów, jak zwykle dla ludzi, którzy po fakcie odkrywają, że przez cały czas stali po niewłaściwej stronie *. Zadziwiające, jak wielu starszych pracowników Uniwersytetu twierdziło teraz stanowczo, że w owym czasie chorowali, byli z wizytą u ciotki albo prowadzili badania za zamkniętymi drzwiami, nucąc przy tym głośno, w wyniku czego nie mieli pojęcia, co się dzieje na zewnątrz. Prowadzono potem luźne rozmowy o wystawieniu Rincewindowi pomnika; jednak w wyniku działania niezwyklej alchemii umysłu, jaka uaktywnia się w takich drażliwych sytuacjach, posąg szybko zmienił się w tablicę pamiątkową, potem we wpis do Listy zasłużonych, wreszcie naganę za niewłaściwy ubiór.
 - * to znaczy po tej która przegrała **TO ISTOTNIE MOŻLIWE**, odparł uprzejmie Śmierć. **JESTEM JEDNAK PEWIEN, ŻE NIE CHCIELIBYŚCIE, BYM ZBYT CZĘSTO WYGŁASZAŁ STANOWCZE OPINIE W TAKICH KWESTIACH.**
 - Nie! Oczywiście, że nie – zapewniał szybko kwestor. – No dobrze. Cóż, wielkie dzięki. Biedny chłopak. Co za szkoda. Ale nie ma rady. Powinniśmy podejść do tego filozoficznie.
 - **MOŻE POWINNIŚCIE.**
 - Nie będziemy cię dłużej zatrzymywać.
 - **DZIĘKUJĘ**
 - **Żegnaj.**
 - **DO ZOBACZENIA.**
 - Hałasy ustały tuż przed śniadaniem. Jedynie bibliotekarz zasmucił się z tego powodu. Rincewind był jego asystentem i przyjacielem, a także niezastąpionym pomocnikiem przy obieraniu

bananów. Poza tym miał wyjątkowe zdolności do ucieczek przed wszelkimi zagrożeniami. Zdaniem bibliotekarza nie należał do typów, które łatwo dają się złapać.

- Zapewne nastąpiła niezwykle koniunkcja okoliczności..Było to o wiele bardziej prawdopodobne wyjaśnienie.

Rzeczywiście nastąpiła niezwykle koniunkcja okoliczności. Szansa jedna na milion sprawiła, że ktoś właśnie obserwował, studiował i szukał właściwych narzędzi do szczególnego zadania.

- I natrafił na Rincewinda. To było niemal zbyt proste... I tak Rincewind otworzył oczy. Nad sobą zobaczył sufit. Gdyby to była podłoga miałby kłopot.Na razie dobrze.
- Ostrożnie obmacał powierzchnię wokół siebie. Była nierówna, drzewna, z jakąś samotną dziurą po gwoździu. Ludzki typ powierzchni.
- Uszy wychwyciły trzask ognia i jakiś bulgot, źródło nieokreślone. Nos, czując się pozostawiony nieco z boku, pośpiesznie zameldował o zapachu siarki. W porządku. Co z tego wynikało? Że leży na szorstkiej, drewnianej podłodze w pokoju oświetlonym blaskiem ognia, gdzie coś bulgocze i wydziela zapach siarki. W owym nierzeczywistym, sennym stanie Rincewind był całkiem zadowolony z tego procesu dedukcyjnego. Co jeszcze? A tak. Otworzył usta i wrzeszczał, i wrzeszczał, i wrzeszczał. Poczuł się trochę lepiej. Poleżał jeszcze chwilę. Przez splątany kłęb wspomnień przebiła się pamięć o porankach w łóżku, kiedy był małym chłopcem i rozpaczliwie dzielił mijający czas na coraz mniejsze fragmenty, by jak najdalej odsunąć straszną chwilę, gdy będzie musiał wstać i zmierzyć się z problemami życia. Takimi jak – w danej sytuacji – kim jest, gdzie jest i dlaczego jest.
 - Czym jesteś? – zapytał głos z samej granicy świadomości.
 - Właśnie do tego dochodziłem – wymruczał Rincewind
 - Pokój falował przez chwilę, nim znieruchomiał, a Rincewind uniósł się na łokciach.
 - Ostrzegam – zawołał głos, dochodzący chyba od stołu – Chronią mnie liczne i potężne amulety.
 - To świetnie – pochwalił Rincewind. – Żałuję, że mnie nie chronią.
- Z mgły zaczęły destylować szczegóły. Znalazł się w długim,

niskim pomieszczeniu, którego jeden koniec całkowicie zajmował ogromny kominek. Na biegnącej wzdłuż całej ściany ławie stała kolekcja szkła, wyraźnie stworzona przez dręczonego czkawką pijanego dmuchacza. Na haku w swobodnej pozie wisił szkielet. A na drążku obok niego ktoś przybił wypchanego ptaka. Jakiegokolwiek grzechy popełniło w życiu nieszczęsne zwierzę, nie zasłużyło na to, co uczynił z nim dermoplasta. Wzrok Rincewind omiótł podłogę. Było jasne, że od dawna nie zaznała innego omiatania. Tylko wokół niego usunięto odłamki szkła i retort, robiąc miejsce dla... Magicznego kręgu. Wyglądał bardzo solidnie. Ktokolwiek go wykreślił, musiał dokładnie zdawać sobie sprawę, że celem kręgu jest podział universum na dwie części, zewnętrzną i wewnętrzną. Rincewind, oczywiście, znalazł się w wewnętrznej.

- Aha – powiedział.
- Ogarnęło go doskonale znane i niemal pocieszające uczucie bezradności i zgrozy.
 - Zaklinam i zakazuję ci wszelkich wrogich ataków, demonie z otchłani – zabrzmiał głos dobiegający, jak uświadomił sobie Rincewind, zza stołu
 - Dobrze, dobrze – rzucił szybko. – Jeśli o mnie chodzi, nie mam nic przeciw temu. Tego... Czy jest możliwe, że nastąpił malutki błąd?
 - Precz!
 - Zgoda! – Rincewind rozejrzał się nerwowo. – Jak?
 - Nie myśl, że zdołasz zwabić mnie i doprowadzić do zguby owym kłamliwym językiem, potworze Shamharotha – oznajmił stół. – Jestem oświecony w sprawach demonów. Wykonuj rozkazy, bo odeślę cię do wrzących piekieł, skąd przychodzisz. Z których przychodzisz, przepraszam. Właściwie: z których przybywasz. I nie żartuję
- Zza stołu wysunęła się postać. Była dość niska, a większą jej część skrywały najrozmaitsze znaki, amulety i talizmany, które - choć niezbyt skuteczne przeciw magii – z pewnością stanowiłyby dostateczną ochronę przed średniej mocy pchnięciem miecza. Postać nosiła okulary i miała kapelusz z długimi kłapkami po bokach; nadawały jej wygląd

krótkowzrocznego spaniela. W drżącej dłoni ścisnął miecz, tak głęboko rzeźbiony w magiczne symbole, że zaczynał się krzywić.

- Wrzących piekieł, mówiłeś? – upewnił się Rincewind.
- Właśnie. Gdzie krzyki przerażenia dręczonych, torturowanych...
- Tak, tak. Zrozumiałem. Ale, widzisz, rzecz w tym, że tak naprawdę wcale nie jestem demonem. Wobec tego, czy mógłbyś mnie wypuścić?
- Nie oszuka mnie twój wygląd, demonie – oznajmiła postać. I bardziej normalnym głosem dodała: - Zresztą demony zawsze kłamią. To ogólnie znany fakt.
- Doprawdy? – Rincewind chwycił się ostatniej deski ratunku. – W takim razie... jestem demonem.
- Aha! Zdradzony przez własne usta!
- Słuchaj! Nie mam zamiaru tego znosić – stwierdził Rincewind. – Nie wiem, kim jesteś ani co się tu dzieje, ale mam zamiar się czegoś napić. Zgoda?
- Zamierzał wyjść z kręgu i zeszywniał nagle od wstrząsu: iskry strzeliły z runicznych inskrypcji i uziemiły się w całym jego ciele.
- Zaiste nie w wtw... nie wwt... – Przywoływacz demonów zrezygnował. – Nie uda ci się wyjść z tego kręgu, dopóki cię nie uwolnię. Jasne? Nie chcę być nieuprzejmy, ale gdybym zwyczajnie cię wypuścił, mógłbyś przyjąć swoją prawdziwą postać. I to straszliwą postać, jak się domyślam. Precz! – dodał czując, że nie utrzymuje właściwego tonu.
- Dobrze, dobrze. Chętnie odejdę – uspokoił go Rincewind, rozcierając łokieć. – Ale i tak nie jestem demonem.
- To dlaczego odpowiedziałeś na przywołanie? Pewnie tylko przypadkiem przechodziłeś akurat przez paranormalny wymiar, co?
- Coś w tym rodzaju, jak sądzę. Nie pamiętam dokładnie.
- Spróbuj czegoś innego, to za bardzo prymitywne. – Przywoływacz oparł miecz o pulpit, na którym leżała gruba, ociekająca zakładkami otwarta księga. A

potem zatańczył nagle. – Udało się! – zawołał. –
Hihi!

- Zauważył osłupiałe spojrzenie Rincewinda i opanował się szybko. Chrząknął z zakłopotaniem i podszedł do pulpitu.
 - Naprawdę nie jestem... – zaczął Rincewind.
 - Gdzieś tu miałem listę – mruknęła postać. – zaraz.... O, jest. Nakazuję ci...tobie, znaczy...abyś...Mam. Abyś spełnił trzy moje życzenia. Tak chcę władzy nad królestwami tego świata, chcę spotkać najpiękniejszą kobietę, jaka kiedykolwiek istniała, i chcę żyć wiecznie.
- Spojrzał na Rincewinda zachęcająco.
 - To wszystko? – spytał mag sarkastycznie.
 - Tak.
 - Drobiazg. A potem do wieczora będę miał wolne?
 - I chcę jeszcze kufer pełen złota. Żebym miał z czym zacząć.
 - Widzę, że przemyślałeś sobie wszystko.
 - Tak. Precz!
 - Dobrze. Tylko że... – Rincewind zastanowił się pośpiesznie. On jest szalony, myślał, ale szalony z mieczem w ręku; muszę go pokonać na jego warunkach. – Widzisz, nie jestem bardzo potężnym demonem i obawiam się, że takie polecenia przekraczają moje możliwości. Przykro mi. Możesz mnie preczować ile zechcesz, ale zwyczajnie nie potrafię.
- Niska postać przyjrzała mu się nad okularami.
 - Rozumiem – stwierdził kwaśno. – A czego mógłbyś dokonać?
 - No więc...Mógłbym chyba pobiec do sklepu i przynieść paczkę miętówek albo coś...
- Przez chwilę trwała cisza.
 - Naprawdę nie umiesz robić tych rzeczy?
 - Przykro mi. Ale coś ci powiem. Wypuść mnie, a ja zawiadomię wszystkich w...- Rincewind zawahał się. Gdzie do wszystkich diabłów, mieszkają diabły? -

...Demon City – zaryzykował.

- Chcesz powiedzieć: w Pandemonium? – spytał podejrzliwie jego dozorca.
- No właśnie. O to mi chodziło. Wszystkim powiem, że gdy tylko trafią do realnego świata, niech koniecznie poszukają... Jak się nazywasz?
- Thursley. Eryk Thursley.
- Właśnie.
- Demonolog, Aleja Śmietnikowa. Pseudopolis. Zaraz obok garbarni – dodał z nadzieją Thursley.
- Zapamiętam. O nic się nie martw. A teraz, gdybyś mnie wypuścił...
 - Thursley skrzywił się, zawiedziony.
- Na pewno nie potrafisz? – upewnił się, a Rincewind nie mógł nie usłyszeć błagalnej nuty w jego głosie. – Wystarczy nawet mała szkatułka złota. No i nie musi być najpiękniejsza kobieta w całej historii. Druga co do urody zupełnie mi wystarczy. Albo trzecia. Zresztą wybierz dowolną z pierwszej set...tysiąca. Cokolwiek masz w zapasie.
 - Pod koniec wypowiedzi głos aż wibrował z tęsknoty.
 - Rincewind miał ochotę powiedzieć: słuchaj rzuć te zabawy z chemikaliami w ciemnych pokojach, ogól się ostrzyż, weź kąpiel, albo lepiej dwie kąpiele, kup sobie nowe ubranie i wyjdź wieczorem, a wtedy...- tu musiałby szczerze przyznać, że nawet umyty, ogolony i wymoczony w solach kąpielowych Thursley nie miał szans na żadną z nagród...- a wtedy możesz dostać w twarz od dowolnej kobiety, jaką sobie wybierzesz.
 - Owszem, nie jest to wiele, ale zawsze jakiś fizyczny kontakt.
 - Przykro mi – powtórzył jeszcze raz.
 - Thursley westchnął.
 - Woda się gotuje – powiedział – Chcesz herbaty?
 - Rincewind ruszył naprzód, w trzask psychicznej energii.
 - Tego...- mruknął niepewnie Thursley, gdy mag ssął palce- Wiesz co? Rzucę na ciebie urok przymuszenia.
 - Zapewniam cię, że nie ma takiej potrzeby...
 - Nie. Tak będzie najlepiej. To znaczy, że będziesz mógł chodzić swobodnie. I tak miałem tu wszystko

przygotowane na wypadek, gdybyś mógł wyruszyć,
no wiesz, po nią.

- Dobrze – zgodził się Rincewind.
- A kiedy demonolog mamrotał słowa z księgi, myślał:
stopy...drzwi...schody...Wspaniały zestaw.
- Przyszło mu na myśl, że jest w demonologu coś nietypowego,
ale nie mógł określić, co właściwie. Wyglądał całkiem jak
demonolodzy, których pamiętał z Ankh-Morpork: Zgarbieni,
poplamieni chemikaliami, ze żrenicami jak łebki szpilek od
chemicznych oparów. Ten tutaj świetnie by do nich pasował. Tyle
że było w nim coś dziwnego.
- Szczerze mówiąc – rzekł Thursley, pracowicie ścierając
część kręgu – jesteś moim pierwszym demonem.
Nigdy dotąd mi się nie udało. Jak ci na imię?
- Rincewind.
- Thursley zastanowił się.
- Jakoś nie kojarzę. W “Demonologii” jest Riinjswin. I
Winswin. Ale mają więcej skrzydeł od ciebie. Teraz
możesz wyjść. Muszę przyznać, że materializacja
była pierwsza klasa. Patrząc na ciebie, nikt by nie
uwierzył, że jesteś potworem. Większość demonów,
gdy chce udawać ludzi, materializuje się w postaciach
arystokratów, królów i książąt. A wizerunek
nadgryzionego przez mole maga jest wyjątkowo
sprytny. Prawie mnie nabrałeś. Szkoda że nie umiesz
spełniać tych życzeń
- Nie wiem dlaczego chcesz żyć wiecznie – stwierdził
Rincewind. Prywatnie postanowił, że jeśli tylko trafi
się okazja, ktoś tu zapłaci za tego “nadgryzionego
przez mole”. – Odzyskać młodość... to bym
zrozumiał.
- E tam. Być młodym to żadna przyjemność – odparł
Thursley i przerażony zakrył dłonią usta.
- Rincewind pochylił się. Około pięćdziesięciu lat. Tego
właśnie brakowało.
- To fałszywa broda! – zawołał. – Ile masz lat?
- Osiemdziesiąt siedem – wychrypiał Thursley.

- Widzę haczyki za uszami!
- Siedemdziesiąt osiem! Słowo! Precz!
- Jesteś małym chłopcem!
- Eryk wyprostował się dumnie.
 - Wcale nie! – zaprotestował. – mam prawie czternaście lat!
 - Aha!
- Chłopiec machnął na Rincewinda mieczem.
 - To i tak nieważne! – krzyknął. – Można być demonologiem w każdym wieku, a ty nadal jesteś moim demonem i musisz robić, co ci każe!
 - Eryku! – zawołał jakiś głos z dołu.
- Chłopiec zbladł nagle.
 - Tak, mam? – odpowiedział, wpatrując się błagalnie w Rincewinda. Jago usta wyszeptały bezgłośnie: tylko nic nie mów, proszę...
 - Co to za hałasy?
 - Nic mam.
 - Zejdź i umyj ręce, skarbie! Śniadanie gotowe!
 - Już idę, mam. – Spojrzał bezradnie na Rincewinda. – To moja matka – wyjaśnił.
 - Ma mocne płuca- zauważył Rincewind.
 - Chyba... muszę już iść. Ty tu zostaniesz, oczywiście.
- Przyszło mu do głowy, że jego autorytet nieco ucierpiał. Machnął mieczem.
 - Precz! – rzekł. – Rozkazuję ci nie opuszczać tego pokoju!
 - Pewnie. No jasne – zgodził się Rincewind, badając wzrokiem okna.
 - Obiecujesz? Inaczej zostaniesz odesłany w Otchłań.
 - Nie tego bym nie chciał. Biegnij już. Nie martw się o mnie.
 - Zostawię tutaj miecz i resztę. – Eryk zdjął większość elementów swego kostiumu. Odsłoniły szczupłego, ciemnowłosego chłopca, którego twarz wyglądałaby pewnie o wiele lepiej, gdyby się pozbył trądziku. – Jeśli ich dotkniesz, spotkają cię straszne rzeczy.

- Nawet o tym nie myślę – zapewnił Rincewind.
- Kiedy został sam, podszedł do pulpitu i obejrzał księgę. Tytuł, wypisany imponująco zakręconymi czerwonymi literami, brzmiał *Mallificarum Sumpta Diabolicite Occularis Singularum*, Księga Ostatecznej Kontroli. Znał ją. Gdzieś w bibliotece mieli egzemplarz. Chociaż magowie nigdy z niego nie korzystali.
- Być może wyda się to dziwne. Ponieważ jeśli już mag zgodziłby się prehandlować za coś własną babkę, to tylko za władzę i moc. Ale nie takie dziwne, ponieważ każdy mag dostatecznie sprytny, by przeżyć pięć minut, jest też wystarczająco rozsądny by wiedzieć, że w całej demonologii władza i moc tkwi wyłącznie w demonach. Wykorzystanie ich dla własnych celów przypominałoby próbę zatłuczenia myszy grzechotnikiem. Nawet magowie uważali demonologów za dziwaków. Byli to zwykle bladzi, przemykający się chyłkiem ludzie, którzy w zaciemnionych pomieszczeniach wykonywali jakieś skomplikowane czynności i mieli wilgotne, miękkie dłonie. Nic, co by przypominało solidną czystą magię. Żaden szanujący się mag nie chciał mieć nic wspólnego z dziedzinami demonicznymi, których mieszkańcy tworzyli zbiór czubków jak w solidnej kiści bananów. Rincewind dokładnie obejrzał szkielet, tak na wszelki wypadek. Ten jednak nie zdradzał ochoty do żadnych działań ani czynności.
 - Należał do jego jakmutam, dziadka – zabrzmiał nagle zgrzytliwy głos
 - Dość nietypowy spadek – uznał Rincewind.
 - Nie, to nie szkielet dziadka. Ten tylko kupił go w jakimś sklepie.
 - Rincewind zamyślił się głęboko, po chwili zapytał, nie odwracając głowy.
 - Z czym ja właściwie rozmawiam?
 - Jestem jakmitam. Mam to na końcu języka. Zaczyna się na P.
 - Rincewind odwrócił się powoli.
 - Jesteś papugą? – spytał.
 - Trafiłeś.
- Rincewind przyjrzał się temu czemuś na półce. Miało tylko jedno

oko, błyszczące jak rubin. Większą część reszty pokrywała różowofioletowa skóra, nabijana kikutami piór. Całość przywodziła na myśl przygotowaną do pieczenia szczotkę. Podrygiwała artretycznie na drążku, wreszcie straciła równowagę i zawisła głową w dół.

- Myślałem że jesteś wypchana.
- Sam się wypchaj, magu.

- Rincewind zignorował sugestię i na palcach podszedł do okna. Było nieduże, ale wychodziło na łagodnie nachylony dach. Za nim czekało prawdziwe życie, prawdziwe niebo, prawdziwe budynki. Wyciągnął rękę, by otworzyć okiennice...

- Prąd z trzaskiem popłynął mu wzdłuż ramienia i uziemił się w rdzeniu kręgowym Rincewind usiadł na podłodze i ssał palec.
 - Mówił ci przecież – przypomniała papuga, huśtając się w przód i w tył, wciąż głową w dół. – Ale nie chciałeś jakmutam. Trzyma cię na jakmutam.
 - Ale to powinno działać tylko na demony!
 - Ha! – zawołała papuga. Nabrała rozpędu i przekręciła się znowu głową w górę, gdzie wyhamowała resztkami tego, co kiedyś było skrzydłami. – To zależy. Jeśli przechodzisz przez drzwi z napisem “Jakimtam”, to jesteś traktowany jak jeden z jakimtam. Demon znaczy się. Podlegasz wszystkim zasadom i jakimtam. Ciężka sprawa.
 - Ale ty chyba wiesz, że jestem magikiem?
- Papuga zaskrzeczała.
 - Widziałam je kolego. Prawdziwe jakimtam. Mieliśmy tu takie, że na ich widok udławiłbyś się swoim prosem. Wielkie łuskowate, ogniste jakimtam. Tygodniami trzeba było zdrapywać ze ścian sadzę – dodała tonem aprobaty. – To za czasów jego dziadka, oczywiście. Dzieciak w ogóle sobie nie radził. Aż do dzisiaj. Zdolny chłopak. To wina jego jakimtam, rodziców. Nowobogaccy. Handel winem. Rozpuścili go jak dziadowski bicz, pozwalali się bawić rzeczami jakmutam. “Och, jakież to inteligentny chłopiec, cały

czas z nosem w książce” – przedrzeźniała papuga. – Nigdy nie dostał od nich tego, czego najbardziej potrzebuje wrażliwy, dorastający jakmutam. Takie jest moje zdanie.

- Chodzi ci o miłość i dobrą radę? – spytał Rincewind.
- Chodzi mi o porządne, solidne jakmutam, lanie – wyjaśniła papuga.

- Rincewind ścisnął bolącą głowę. Jeśli wszystkie demony przechodziły to co on, nic dziwnego, że zawsze były ziryutowane.
 - Polly chce ciasteczko – rzekła papuga bez związku, takim tonem, jakim ludzie mówią “hm” albo “o czym to mówiłem”. Po czym kontynuowała: - Jego dziadek się tym zajmował. Tym i gołębiami.
 - Gołębiami – powtórzył Rincewind.
 - Co nie znaczy, że odnosił jakieś sukcesy. Wszystko robił trochę metodą prób i jakimtam.
 - Wspomniałaś chyba o wielkich, łuskowatych...
 - O tak. Ale to nie o takie mu chodziło. Próbował przywołać sukkuba. – Złośliwy uśmieszek u kogoś posiadający dziób nie powinien być możliwy. Jednak papudze się udało. – To żeński demon, który przychodzi nocą i wywołuje szalone, namiętne jakim...
 - Słyszałem o nich – przerwał jej Rincewind. – Okropnie niebezpieczne.
 - Papuga przechyliła głowę na bok.
 - Nigdy mu się nie udało. Sprowadził tylko neuralgera.
 - Co to jest?
 - To demon, który przybywa i wywołuje ból głowy.
- Demony istnieją na Dysku co najmniej tak długo jak bogowie, których pod wieloma względami przypominają. Różnica jest zasadniczo taka, jak między terrorystami a bojownikami o wolność. Większość demonów zamieszkuje obszerny wymiar bliski rzeczywistości, tradycyjnie udekorowany w odcieniach płomieni i utrzymywany w temperaturze piekarnika. Nie jest to konieczne, ale jeśli przeciętny demon już jest czemuś wierny, to tradycji. W centrum inferna.

Wyrastając majestatycznie w jeziora substytutu lawy i z niezrównanym widokiem na Osiem Kręgów, leży miasto Pandemonium*. W tej chwili wydawało się godne swej nazwy. Astfgl' nowy król demonów, był wściekły. Nie tylko dlatego, że znowu popsuła się klimatyzacja, ani dlatego, że ze wszystkich stron otaczali go idioci i spiskowcy, i nawet nie dlatego, że nikt jeszcze nie umiał poprawnie wymówić jego imienia. Był wściekły przede wszystkim dlatego, że właśnie otrzymał złe wieści. Demon, który został drogą losowania wybrany do ich przekazania, kulił się przed tronem z ogonem między nogami. Był nieśmiertelnie przerażony, że zaraz przytrafi mu się coś cudownego **.

- Co zrobił? – zapytał Astfgl.
- On tego... Otworzył się, panie. Krąg w Pseudopolis.
- Aha. Sprytny chłopak. Wiązaliśmy z nim wielkie nadzieje.
- I ten... Zamknął się znowu, panie. – Demon zamknął oczy.
- A kto przez niego przeszedł?
- No...- Demon obejrzał się na kolegów, zebranych na drugim końcu długiej na milę sali tronowej.
- Pytałem, kto przeszedł.
- Szczerze mówiąc, panie...
- Tak?
- Nie wiemy. Ktoś.

- * Demony i piekło są czymś zupełnie innym od Piekielnych Wymiarów, tych nieskończenie równoległych pustkowi poza czasem i przestrzenią. Smutne, obłąkane Stwory w Piekielnych Wymiarach nie rozumieją świata, ale pragną światła i formy. Próbuje ogrzać się przy ogniskach rzeczywistości, gromadzą się wokół nich, co – gdyby się kiedyś przedarły – miałoby taki efekt, jakby ocean próbował ogrzać się od świecy. Tymczasem demony należą do mniej więcej tej samej czasoprzestrzeni jak jej tam co ludzie. Przejawiają głębokie i trwałe zainteresowanie codziennymi sprawami ludzkości. Co ciekawe, bogów dysku nigdy nie interesowały sądy nad duszami zmarłych, więc ludzie szli do Piekła tylko wtedy, gdy w głębi serca wierzyli, że powinni tam trafić. Oczywiście nie wierzyli, jeśli nie wiedzieli o jego istnieniu. To tłumaczy, dlaczego tak ważne jest, by strzelać bez ostrzeżenia do wszelkich misjonarzy.** Demony mają skrzywioną skalę wartości.

- Wydałem chyba rozkaz, żeby w razie sukcesu przed chłopcem zmaterializował się diuk Vassenego i zaproponował mu zakazane przyjemności oraz mroczne rozkosze, by nagiąć go do naszej woli.

- Król warknął wściekle. Problem ze złem polegał na tym, co musiał przyznać, że demony nie są wielkimi myślicielami czy odkrywcami. Potrzebują odrobiny ludzkiej pomysłowości. I naprawdę liczył w tym względzie na Eryka Thursleya, obdarzonego rzadką odmianą

pozbawionej skrupułów, wybitnej inteligencji. Piekło potrzebowało takich straszliwie błyskotliwych egoistów jak Eryk. We wszelkich brzydkich czynach byli o wiele lepsi od demonów.

- Istotnie – przyznał demon. – I diuk od lat oczekiwał przywołania, odrzucając wszelkie inne pokusy, wytrwale i cierpliwie studiując świat ludzi...
- Więc gdzie wtedy był?
- Ehm. Nadnatura go wezwała, panie – bełkotał demon. – Nie odszedł nawet na dwie minuty, a już...
- A już ktoś przeszedł?
- Próbujemy właśnie znaleźć...
- Cierpliwość lorda Astfgla, i tak mająca odporność kitu, w tym miejscu pękła. Tego już za wiele. Miał poddanych, którzy używali słowa “znaleźć”, kiedy chodziło im o “ustalić”. Potępienie to dla nich zbyt wielka łaska.
 - Wynoś się – syknął.- Dopilnuję, żebyś otrzymał za to nagrodę...
 - Panie mój, proszę...
 - Wynoś się!
- Płomiennymi korytarzami król pomaszerował do swoich osobistych apartamentów.
- Jego przodkowie preferowali kosmate tyle kończyny oraz kopyta. Asfgl odrzucił takie pomysły od razu. Utrzymywał, że ci zarozumiali dranie z Dunmainfestin nie potraktują poważnie kogoś, kogo tylna połowa należy do przeżuwanca. Chętnie więc nosił płaszcz z czerwonego jedwabiu, fioletowe pończochy, kaptur z dwoma różkami o dość skomplikowanych kształtach i trójjąb. Z trójjębą wciąż odpadał koniec, ale Astfgl uważał, że króla demonów w takim kostiumie trzeba traktować poważnie. W chłodzie swych komnat – na wszystkich bogów, czy raczej nie na wszystkich bogów, całe wieki trwało, zanim doprowadził je do jakiegoś cywilizowanego stanu; poprzednikom zupełnie wystarczało leniuchowanie i kuszenie ludzi, nigdy nie słyszeli o stresie kierowniczym – delikatnie uniósł zasłonę ze Zwierciadła Dusz. Zamigotało, budząc się do życia. Zimną czarną powierzchnię otaczała ozdobna rama, z której bezustannie wznosiły się kłęby gęstego dymu.

- *Twoje życzenie, panie? Spytało.*
 - Pokaż mi wydarzenia z ostatniej godziny, wokół bramy Pseudopolis – polecił król i usiadł.
- Po chwili wstał i sprawdził imię “Rincewind” w kartotece, jaką kazał niedawno założyć na miejsce stojących tu przedtem, tragicznie oprowionych starych woluminów. System wymagał jeszcze drobnych poprawek, jako że tępe demony ułożyły wszystkich pod literą L, jak Ludzie. Potem już tylko przyglądał się migającym obrazkom i dla uspokojenia nerwów bawił się sprzętem biurowym. Miał do dyspozycji cały blat swego biurka: notesy z magnesami na spinacze, podręczne przyrządy do przytrzymywania pióra, bloki kartek, które zawsze się przydają, śmieszne figurki ze sloganami w stylu “Ty tu jesteś szefem!”, a także chromowane kulki i sprężyny, działające na zasadzie fałszywego i krótkotrwałego wiecznego ruchu. Ktokolwiek spojrzałby na biurko, nie miałby cienia wątpliwości, że były to przedmioty prawdziwie potępione.
 - Rozumiem – stwierdził Astfgl i jednym szponem pobudził do ruchu zestaw błyszczących kulek.
- Nie przypominał sobie żadnego demona o imieniu Rincewind. Z drugiej strony, było tu chyba kilka milionów tych nieszczęsnych istot, bez żadnego porządku wędrujących po Piekło. A nie miał dotąd czasu, by wprowadzić przyzwoitą klasyfikację i odesłać niepotrzebnych na emeryturę. Na tego Rincewinda przypadało chyba mniej kończyn a więcej samogłosek niż na większość. Ale przecież musiał być demonem... Vassenego to zarozumiały głupiec, jeden ze starszych demonów, które uśmiechają się i gardzą nim, i są nie-tak- całkiem posłuszne. Wszystko dlatego, że król – pracując ciężko przez całe tysiąclecia – zdołał przebyć drogę od skromnych początków do swej obecnej pozycji. Vassenego był zdolny zrobić coś takiego specjalnie, tylko po to, by go rozgniewać. No cóż, później się tym zajmie. Wyśle mu notatkę służbową albo coś w tym rodzaju. Teraz i tak już za późno. Musi osobiście zająć się tą sprawą. Przed Erykiem Thursleyem malowały się zbyt dobre perspektywy, żeby o nim zapomnieć. Zdobycie Eryka Thursleya naprawdę zirytuje bogów. Bogowie! Jakże ich nienawidził! Bardziej nawet niż starej gwardii typu Vassenego; bardziej nawet niż starej gwardii typu Vassenego; bardziej niż ludzi. W zeszłym tygodniu

wydał małe przyjęcie. Dokładnie je zaplanował. Chciał pokazać, że potrafi zapomnieć o dawnych utarczkach i wspólnie z nimi pracować nad budową nowego, lepiej zorganizowanego wszechświata. Nazwał je “Bankietem Zapoznawczym”. Były kielbaski na patykach i wszystko. Starał się jak mógł, żeby zapewnić dobry nastrój. Nie zadali sobie nawet trudu, żeby odpowiedzieć na zaproszenia. A przecież sam przypilnował, żeby na każdym wypisać “Będę wdzięczny za szybką odpowiedź”.

- **Demonie?**
- Eryk wyrzwał zza drzwi.
 - W jakiej jesteś formie? – zapytał.
 - W fatalnej – odparł Rincewind.
 - Przyniosłem ci trochę jedzenia. Odżywasz się, prawda?
- Rincewind spróbował. Dostał miskę owsianki z orzechami i suszonymi owocami. O nic nie miał do nich pretensji. Rzecz w tym, że jakiś element procesu przygotowania uczynił z tymi niewinnymi składnikami to, co ciążenie miliona G czyni z materią gwiazdy neutronowej. Gdyby człowiek umarł po zjedzeniu takiej potrawy, nie musieliby go grzebać; wystarczyłoby położyć zwłoki na miękkim gruncie. Udało mu się trochę przełknąć. To nie było trudne, kłopot w tym, by jedzenie kontynuowało podróż w dół.
 - Świetne – wykrztusił
 - Papuga wykonała znakomitą pantomimę człowieka, który wymiotuje.
 - Postanowiłem cię uwolnić – oznajmił Eryk. – Nie ma chyba sensu trzymać cię tutaj.
 - Najmniejszego.
 - Nie dysponujesz żadną mocą?
 - Przykro mi. Całkowita klęska.
 - Szczerze mówiąc, nie wyglądasz demonicznie – przyznał Eryk.
 - Oni nigdy nie wyglądają. Nie wolno ufać jakimś tam - wychrypiała papuga. Znowu straciła równowagę. – Polly chce ciasteczko – dodała, wisząc głową w dół.
 - Rincewind odwrócił się gwałtownie.
 - Nie wtrącaj się ty dziobaku!

- Wokół nich zabrzmiał dźwięk jakby wszechświat, próbował odchrząknąć. Kredowe linie magicznego kręgu na moment rozjarzyły się oślepiająco, stały się kołem ognia na wytartych deskach, a potem coś wypadło z pustki i ciężko wylądowało na podłodze. Był to wielki okuty kufer. Upadł na półokrągłe wieko. Po chwili zaczął się kołysać, wysunął setki różowych nóżek i przewrócił się z wysiłkiem. W końcu przebierając nóżkami wykonał obrót i spojrzał na Eryka i Rincewinda. Było to tym bardziej niepokojące, że przyglądał im się, choć nie miał oczu zdolnych do przyglądania. Eryk ocknął się pierwszy. Chwycił domowej roboty magiczny miecz i zamachał gwałtownie.
 - A więc jesteś demonem! – zawołał. – A już prawie uwierzyłem, że nie jesteś.
 - O rany! – wykrzyknęła papuga.
 - To tylko mój Bagaż – wyjaśnił załamany Rincewind. – Coś w rodzaju...No, chodzi za mną wszędzie; nie ma w nim nic demonicznego...hm...- Zawahał się. – W każdym razie niewiele – dokończył niepewnie.
 - Precz!
 - Nie, znowu zaczynasz!
 - Chłopiec zajrzał do księgi.
 - Moje wcześniejsze rozkazy pozostają w mocy – oznajmił stanowczo. – Najpiękniejsza kobieta, jaka kiedykolwiek żyła, władza nad wszystkimi królestwami świata i wieczne życie. Bierz się do roboty.
 - Rincewind stał jak skamieniały.
 - No już – ponaglił go Eryk. – Powinieneś zniknąć w kłębach dymu.
 - Słuchaj, jeśli ci się wydaje, że wystarczy pstryknąć palcami...
 - Rincewind pstryknął palcami. Pojawił się kłęb dymu.
 - Rincewind obrzucił swoje palce długim, zdumionym spojrzeniem, jak ktoś mógłby spoglądać na strzelbę, która od dziesięcioleci wisiała na ścianie, aż nagle wypaliła i podziurawiła kota.
 - Nigdy dotąd się tak nie zachowywały – mruknął.
 - Popatrzył w dół.

- Aargh – powiedział i zamknął oczy.
- W ciemności pod powiekami świat prezentował się lepiej. Gdyby zastukał nogą, mógłby sam siebie przekonać, że czuje podłogę, uwierzyć, że stoi w pokoju i że pilne sygnały od pozostałych zamysłów, przekonujące go, iż wisi w pustce jakieś tysiąc mil nad Dyskiem, to tylko zły sen, z którego może się obudzić. Szybko jednak skreślił tę myśl. Jeśli spał, to wołał nadal śnić. W snach człowiek może latać. Jeśli jednak się zbudzi, będzie bardzo długo spadał. Może umarłem i naprawdę już jestem demonem, pomyślał. Była to interesująca teoria. Uchylił powieki.
 - O rany! – rzekł Eryk. Oczy mu błyszczały. – I mogę dostać to wszystko?
- Chłopiec stał w tej samej pozycji, jaką zajmował w pokoju. Podobnie багаż. Podobnie, ku irytacji Rincewinda, papuga. Przysiadła w powietrzu i spoglądała z namysłem na kosmiczną panoramę na dole. Dysk wyglądał niemal tak, jakby został stworzony do podziwiania go z przestrzeni; nie po to – Rincewind był absolutnie pewien – żeby na nim mieszkać. Musiał jednak przyznać, że wygląda imponująco. Słońce miało właśnie zniknąć za Krawędzią i wzdłuż połowy obwodu rozpałiło linię ognia. Długi, powolny zmierzch ogarniał rozległy mroczny pejzaż. Poniżej, ostro oświetlony w martwej pustce przestrzeni, sunął pod ciężarem Stworzenia Wielki A'Tuin, żółw świata. Na jego – lub jej, ta kwestia nie została wyjaśniona – skorupie cztery słonie z wysiłkiem podtrzymywały sam Dysk. Istnieją może bardziej efektywne metody konstrukcji świata. Można zacząć od kuli płynnego żelaza i pokrywać ją kolejnymi warstwami skały, jak staromodny lizak. Otrzymałoby się wtedy całkiem przyzwoitą planetę, ale nie wyglądałaby tak ładnie. A poza tym od dołu wszystko by z niej spadło.
 - Całkiem niezłe – stwierdziła papuga.- Polly chce kontynent.
 - Jest ogromny...- szepnął Eryk.
 - Istotnie – przyznał obojętnie Rincewind.
 - Czuł że oczekują czegoś więcej.
 - Nie zepsuj go – dodał.
- Dręczyły go poważne wątpliwości. Jeżeli przyjąć – czysto

teoretycznie – że jest demonem, a ostatnio przydarzyło mu się tyle rzeczy, że mógł umrzeć i w ogólnym zamieszaniu tego nie zauważyć* - to wciąż nie rozumiał, dlaczego miałby oddać komuś świat. Przecież świat nie należał do niego. Był przekonany, że ma swoich właścicieli, którzy też tak sądzą. Był również pewien, że demon powinien coś dostać na piśmie.

- Musisz chyba coś podpisać – rzekł. – Krwią.
 - Czyją? – zainteresował się Eryk.
 - Chyba twoją. Ale wystarczy i ptasia – dodał Rincewind i zerknął znacząco na papugę, która wykrzywiła się niechętnie.
 - Czy nie mogę najpierw go wypróbować?
 - Co?
 - No, przypuśćmy, że nie będzie działać. Niczego nie podpiszę, dopóki nie zobaczę, jak działa.
- Rincewind przyjrzał się chłopcu. Potem spojrzał na szeroką panoramę królestw tego świata. Ciekawe, czy w tym wieku byłem do niego podobny pomyślał. Ciekawe, jak zdołałem przeżyć.
 - To jest świat – wyjaśnił cierpliwie. – Oczywiście, że działa jak należy. Popatrz tylko. Huragany, dryf kontynentalny, cykle klimatyczne... wszystko na miejscu. Wszystko tyka jak pieklielny zegarek. Taki świat wystarczy ci na całe życie... Byle używać go rozsądnie.
 - Eryk obejrzał świat krytycznie. Miał wyraz twarzy kogoś, kto wie, że wszystkie najlepsze prezenty wymagają psychicznego odpowiednika dwóch baterii R20, a sklepy są zamknięte przez całe święta.
 - Muszą mi złożyć daninę – oznajmił stanowczo.
 - Co muszą?
 - Królów świata. Muszą mi złożyć daninę.
 - Solidnie to przestudiowałeś, co? – burknął z irytacją Rincewind. – Tylko daninę? Nie masz ochoty na księżyc, skoro już jesteśmy tu na górze? Specjalna oferta, tylko w tym tygodniu: jeden darmowy satelita do każdego zdominowanego świata.
 - A są tam jakieś użyteczne minerały?

- Co?!
- Eryk westchnął ciężko, jakby jego cierpliwość wystawiono na ciężką próbę.
 - Minerały – powtórzył – Ruda. No wiesz.
- Rincewind poczerwieniał
 - Mam wrażenie, że człowiek w twoim wieku nie powinien nawet myśleć o...
 - To znaczy metale i inne takie. Jeśli to tylko kawał skały, to jest mi całkiem zbędny.
- Rincewind zerknął w dół. Małeńki księżyc Dysku wyłonił się właśnie zza dalekiej krawędzi i bladym światłem zalewał układankę lądów i mórz.
-
- * Rincewind dowiedział się kiedyś, że śmierć jest jak przejście do innego pokoju. Różnica polega na tym, że kiedy człowiek zawoła: “Gdzie są czyste skarpetki?”, nikt mu nie odpowie
 - Właściwie nie wiem. Wygląda ładnie – stwierdził. – Posłuchaj, jest już ciemno. Może rano wszyscy złożą ci daninę?
 - Chcę trochę danin natychmiast.
 - Tego się obawiałem.
- Rincewind przyjrzał się uważnie swoim palcom. Pstrykanie nimi właściwie nigdy mu dobrze nie wychodziło.
 - Spróbował jeszcze raz. Kiedy znowu otworzył oczy, stał po kostki w błocie.
 - Wśród talentów Rincewinda najbardziej znanym była jego umiejętność ucieczki, którą przez lata doprowadził do poziomu czystej nauki. Nieważne, przed czym czy dokąd się ucieka, dopóki się ucieka. Jedynie ucieczka ma znaczenie. Uciekam, więc jestem. A raczej: uciekam, więc przy odrobinie szczęścia nadal będę.
 - Ale miał również zdolności językowe i talent geografii praktycznej. Potrafił krzyczeć “Ratunku!” w czternastu językach i skamleć o litość w kolejnych dwunastu. Przewędrował przez wiele krain na Dysku, przez niektóre z dużą prędkością, a podczas długich, cudownie nudnych godzin pracy w Bibliotece umilał sobie czas czytaniem o wszystkich egzotycznych krajach, których nie odwiedził. Pamiętał, wzdychał wtedy z ulgą, że nigdy nie będzie do tego zmuszony. A teraz właśnie tu trafił. Otaczała go dżungla. Nie

była to ta miła, ciekawa dżungla, prze którą mogliby pędzić bohaterowie okryci skórą lampartów. Była to poważna, realna dżungla, dżungla wyrastająca solidnymi, kolczastymi i kłującymi blokami zieleni; dżungla, w której każdy reprezentant królestwa roślin podwijał gałęzie i brał się do trudnej pracy przerośnięcia wszystkich konkurentów. Ziemia nie była wcale ziemią, ale martwymi roślinami we wszystkich kolejnych stadiach, aż do kompostu. Woda kapiała z liścia na liść, owady brzęczały w wilgotnym, pełnym zarodników powietrzu. Panowała straszna, martwa cisza, wywoływana przez nagle gasnące motory fotosyntezy. Jodłujący bohater, który chciałby przefrunąć tędy na lianie, równie dobrze mógłby spróbować szczęścia w młynku do kawy.

- Jak ty to robisz? – zdziwił się Eryk.
- To chyba wrodzone zdolności.
- Eryk poddał cuda Natury powierzchniowej i wzgardliwej obserwacji.
 - To nie wygląda na królestwo – poskarżył się. – Mielіśmy polecieć do królestwa. Czy to ono?
 - To chyba tropikalne dżungle Klatchu – stwierdził Rincewind. – Pełno tu zaginionych królestw.
 - Chodzi ci o tajemnicze, starożytnie rasy amazońskich księżniczek, które wszystkich jeńców płci męskiej poddają niezwykłym i wyczerpującym rytuałom prokreacyjnym? – spytał Eryk. Okulary zaszyły mu mgłą
 - Ha ha – odparł z kamiennym spokojem Rincewind. – Ależ ten dzieciak ma wyobraźnię.
 - Jakmutam, jakmutam, jakmutam ! – wrzasnęła papuga.
 - Czytałem o nich – wyjaśnił Eryk, wpatrując się w gęstą zieleń. – Oczywiście, te królestwa też do mnie należą. – Spojrzał w głąb osobistej, wewnętrznej wizji. – O rany – dodał zachłannie.
 - Na twoim miejscu skupiłbym się na daninach – poradził mu Rincewind i ruszył czymś, co być może było ścieżką.
- Jaskrawe kwiaty na pobliskim drzewie przesunęły się, by

patrzeć, jak odchodzi.

- W dżungli środkowego Klatchu rzeczywiście istnieją zagubione królestwa tajemniczych amazońskich księżniczek, które chwytają mężczyzn i wykorzystują ich do specyficznie męskich zadań. W samej rzeczy są one trudne i wyczerpujące, a nieszczęsne ofiary nie wytrzymują długo*.
- Są tam również niedostępne płaskowyże, gdzie spacerują potworne gady z dawnych epok, są cmentarzyska słoni, zaginione kopalnie diamentów i pradawne ruiny ozdobione hieroglifami, których sam widok potrafi zmrozić najmężniejsze serce. Na każdej w miarę dokładnej mapie tego regionu brakuje miejsca na drzewa. Nieliczni śmiałkowie, którzy zdołali powrócić, przekazali wyruszającym ich śladem kilka cennych wskazówek, takich jak: 1) w miarę możliwości unikaj wszelkich wiszących pędów z paciorkowatymi oczami i rozdwojonym językiem na końcu; 2) nie podnoś żadnych pędów w żółto-czarne pasy, leżących na ścieżce i poruszających się nieznacznie, ponieważ na końcu często mają tygrysa; i 3) nie chodź tam. Jeśli jestem demonem, myślał sennie Rincewind, to czemu wszystko próbuje mnie ukłuć albo przewrócić? Przecież może mnie zranić tylko wbity w serce drewniany sztylet. A może raczej czosnek? W końcu dżungla rozstała się, odsłaniając rozległą równinę sięgającą aż po daleki, błękitny łańcuch wulkanów. Teren pokrywała szachownica jezior, błotnistych pól, tu i tam urozmaiconych wielkimi schodkowymi piramidami, każda udekorowana smuzką dymu rozpływająca się w porannym powietrzu. Ścieżka zmieniła się w wąską, ale brukowaną drogę.

■ * To dlatego, że naprawa bezpieczników, wieszanie półek, sprawdzanie dziwnych hałasów na strychu i strzyżenie trawników może w końcu pokonać nawet najsilniejszy charakter.

- Gdzie jesteście, demonie? – zapytał Eryk
- To wygląda na jedno z królestw Tezumenów – wyjaśnił Rincewind. – Rządzi nimi chyba Niepomiernej Wielkości Muzuma.
- Jest amazońską księżniczką?
- To dziwne, ale nie. Byłbyś zaskoczony wiedząc, jak wielu królestwami nie rządzą amazońskie księżniczki.

- Wygląda prymitywnie. Jak z epoki kamiennej.
 - Tezumeńscy kapłani znali precyzyjny kalendarz i mieli zaawansowaną horologię.
 - Aha – mruknął Eryk. – To niedobrze.
 - Nie – wyjaśnił cierpliwie Rincewind. – To oznacza sztukę pomiaru czasu.
 - Aha. To dobrze.
 - Spodobaliby ci się. Są podobno znakomitymi matematykami.
 - Hm... – Eryk mruknął posępnie. – Niewiele chyba mają do liczenia w tak zacofanej cywilizacji.
- Rincewind przyjrzał się rydwanom szybko pędzącym w ich stronę.
 - Myślę, że zwykle liczą ofiary. – rzekł.
- Imperium Tezumeńskie w porośniętych dżunglą dolinach środkowego Klatchu znane jest ze swych ogrodów warzywnych, wspaniałych wytworów rzemiosła z obsydianu, piór i nefrytu oraz masowych ludzkich ofiar składanych na cześć Quelcamisoatla, Pierzastego Boa, boga masowych ludzkich ofiar. Mówi się, że z Quelcamisoatlem człowiek zawsze wie, na czym stoi. Zwykle z liczną grupą innych ludzi na szczycie wielkiej schodkowej piramidy, gdy ktoś w eleganckim pióropuszu na głowie specjalnie dla niego wyłupuje przepiękny nóż z obsydianu. Tezumeni znani są na kontynencie jako najbardziej samobójczo posępny, nerwowy i pesymistyczny naród, jaki w ogóle można spotkać. Powody tego wkrótce staną się jasne. Prawdą również są pogłoski o ich metodach pomiaru czasu. Tezumeni już dawno odkryli, że wszystko idzie ku gorszemu, a jako obdarzeni straszną cechą dosłowności, opracowali złożony system, pozwalający określić, o ile gorszy jest każdy kolejny dzień. Wbrew powszechnym wierzeniom, to jednak Tezumeni wynaleźli koło. Tyle tylko, że mieli radykalnie inne pomysły jego wykorzystania. Jeszcze nigdy w życiu Rincewind nie widział rydwana zaprzęzonego w lamy. Zresztą nie to było najdziwniejsze. Najdziwniejsze było, że nieśli go ludzie: po dwóch trzymało każdy koniec osi. Biegli za zwierzętami, a ich sandały tupąły głośno po kamieniach bruku.
 - Myślisz, że to ma związek z daniną? – zdziwił się Eryk.

- W pierwszym rydwanie, poza woźnicą, mieścił się tylko krępy, wręcz sześcienny w formie mężczyzna, okryty skórą pumy i w pióropuszu na głowie. Biegący wyhamowali zdyszani. Rincewind zobaczył, że każdy z nich nosi coś, co można by chyba nazwać prymitywnym mieczem, wykonanym metodą mocowania obsydianowych odprysków do drewnianej pałki. Wydały mu się nie mniej śmiertelne od skomplikowanych technicznie, cywilizowanych mieczy. Szczerze mówiąc, wyglądały nawet gorzej.
 - No? – zniecierpliwiał się Eryk.
 - No i co? – nie zrozumiał Rincewind.
 - Powiedz mu. Żeby mi złożył daninę.
- Gruby mężczyzna dumnie zstąpił na ziemię, podszedł do Eryka i ku całkowitemu zdumieniu Rincewinda padł na twarz. Mag poczuł, że coś wdrapuje mu się po plecach i na ramię. A głos podobny do dźwięku rozdzieranego na części arkusza blachy, powiedział:
 - Tak lepiej. O wiele jakmutam, wygodniej. Spróbuj tylko mnie strącić, demonie, a możesz się jakmutam ze swoim uchem. Nagły zwrot sytuacji, co? Wygląda na to, że go oczekiwali.
 - Dlaczego stale powtarzasz “jakmutam”? – spytał Rincewind.
 - Ograniczony jakmutam. Coś. Rzecz. No wiesz. W środku są słowa.
 - Słownik? – domyślił się Rincewind.
 - Pasażerowie pozostałych rydwanów także wysiedli i padli na twarze przed Erykiem, który uśmiechał się promiennie jak idiota. Papuga zastanowiła się.
 - Tak, chyba tak – stwierdziła. – Muszę ci to przyskrzydlić- mówiła dalej – że z początku uważałam cię trochę za jakmutam, ale teraz widzę, że dotrzymujesz jakmutam.
 - Demonie – rzucił Eryk.
 - Słucham?
 - O co im chodzi? Mówisz ich językiem?
 - Hm...Nie – odparł Rincewind. – Ale umiem go czytać – dodał gdy Eryk się odwracał. – Gdybyś mógł dać im znak, żeby to wszystko zapisali...

- Zbliżało się południe. W dżungli za Rincewindem piszczwały i ryczały rozmaite istoty, a wokół niego brzęczały moskity wielkości kolibrów.
 - No jasne – powtórzył po raz dziesiąty. – Jakoś nigdy nie wpadli na to, żeby wynaleźć papier.
- Kamieniarz odstąpił, oddał asystentowi ostatnie stępione obsydianowe dłuto i spojrzał oczekująco na Rincewinda. Rincewind odsunął się o krok i krytycznie obejrzał skalną płytę.
 - Bardzo dobre – ocenił. – Znaczy się : doskonale uchwycone podobieństwo. Złapałeś fryzurę i resztę. Oczywiście, normalnie nie jest taki, no...kwadratowy, ale owszem, bardzo dobre. Tutaj mamy rydwan, a tam piramidy schodkowe. No tak. Chcą chyba, żebyś udał się z nimi do miasta – wyjaśnił Erykowi.
 - Powiedz im: tak – odparł stanowczo chłopiec.
 - Rincewind zwrócił się do przywódcy.
 - Tak – powiedział.
 - Zgarbiona-postać- w-potrójnym-pióropuszu-nad-trzema-kropkami?
- Rincewind westchnął kamieniarz bez słowa wsunął mu w dłoń świeże obsydianowe dłuto i przepchnął na pozycję nowy blok granitu. Życie Tzeumena nie jest łatwe. Nie licząc nawet posiadania takiego boga jak Quelcamisoatl, wystarczy zauważyć, że jeśli nagle zechcą zamówić na jutro dodatkową butelkę mleka, to wiadomość do mleczarza muszą pisać od zeszłego miesiąca. Tezumeni to jedyni ludzie, którzy potrafią popełnić samobójstwo, tłukąc się na śmierć własnym listem pożegnalnym. Zbliżał się wieczór, kiedy rydwan dotruchtał do kamiennego miasta wokół największej piramidy. Witał go szpaler wiwatujących Tezumenów.
 - To mi się podoba – stwierdził Eryk, łaskawie machając dłonią na powitanie. – bardzo się cieszę z naszego przybycia.
 - Owszem – przyznał ponuro Rincewind. – Ciekawe dlaczego.
 - Przecież jestem ich nowym władcą. To jasne.
 - Hmm...

- Rincewind zerknął z ukosa na papugę, która od pewnego czasu była nienaturalnie milcząca, a teraz kuliła mu się za uchem jak stara panna w barze ze Striptizem. Właśnie poważnie się zastanawiała nad wspaniałymi pióropuszcami.
 - Jakimtam dranie – zaskrzeczała. – Jeśli któryś jakmutam spróbuje mnie dotknąć, to ten jakmutam zostanie bez palca. Mówię ci.
 - Coś mi się tu nie podoba – mruknął Rincewind.
 - Co takiego?
 - Wszystko.
 - Mówię ci, wystarczy jedno piórko...
- Rincewind nie był przyzwyczajony do ludzi, którzy cieszą się na jego widok. To było nienaturalne i źle wróżyło. Ci tutaj nie tylko krzyczeli, ale jeszcze rzucali kwiaty i kapelusze. Wykute z kamienia, ale liczą się intencje.
- Rincewind pomyślał, że kapelusze wyglądają dziwnie. Miały tylko runda. Właściwie były kamiennymi dyskami z otworem w środku.
- Procesja zmierzała szerokimi alejami przez miasto w kierunku kilku budowli u stóp piramidy, gdzie oczekiwała kolejna grupa dygnitarzy. Nosili sporo biżuterii i ozdób. Wyglądały zasadniczo podobnie. Na wiele sposobów można wykorzystać kamienny dysk z otworem w środku, a Tezumeni zbadali je wszystkie prócz jednego. Ważniejsze okazały się jednak ustawione przed nimi skrzynie i skrzynki. Wypełnione klejnotami. Eryk szeroko otworzył oczy.
 - Danina! – wykrztusił.
 - Rincewind zrezygnował. To naprawdę działało. Nie widział jak, nie wiedział dlaczego, ale wreszcie wszystko szło Jak Należy. Promienie zachodzącego słońca błyskały na prawdziwych fortunach. Oczywiście, należały pewnie do Eryka, ale może wystarczy i dla niego...
 - Pewnie – zgodził się słabym głosem. – A czego się spodziewałeś?
- Były jeszcze przyjęcia i długie przemowy, co prawda dla Rincewinda niezrozumiałe, ale akcentowane okrzykami i ukłonami w stronę Eryka. Były recitale tezumeńskiej muzyki, która brzmi jakby ktoś

czyścił szczególnie oporną dziurkę nosa. Rincewind zostawił Eryka siedzącego dumnie na tronie w blasku ognia i nieszczęśliwy powlókł się wzdłuż piramidy.

- Podobało mi się na jakmutam – oznajmiła z wyrzutem papuga.
 - Nie mogę usiedzieć spokojnie – wyjaśnił Rincewind. – Przepraszam cię, ale coś takiego nigdy mi się jeszcze nie zdarzyło. Te klejnoty i w ogóle. Wszystko idzie zgodnie z oczekiwaniami. To nie jest normalne.
- Spojrzał na niebotyczną ścianę piramidy, czerwoną w migotliwym blasku ognia. Każdy wielki blok pokrywały płaskorzeźby Tezumenów wyczyniających straszliwie pomysłowe rzeczy ze swymi wrogami. Sugerowały, że niezależnie od ich – być może wspaniałych – cech charakteru, nie mieli tradycyjnych skłonności do entuzjastycznego witania obcych przybyszów i obsypywania ich klejnotami. Zebrane razem rzeźby wywierały ogólnie artystyczne wrażenie. To tylko szczegóły były przerażające. Idąc wolno wzdłuż ściany, dotarł do ciężkich wrót, na których udatnie sportretowano grupę więźniów, najwyraźniej poddawaną kompletnym badaniom medycznym* Za nimi otwierał się krótki, oświetlony pochodniami tunel. Rincewind przeszedł nim kilka kroków, tłumacząc sobie, że zawsze może zawrócić i szybko wybiec. Aż dotarł do wysokiej, pustej przestrzeni, zajmującej większą część wnętrza piramidy. Na ścianach płonęły liczne pochodnie, oświetlające wszystko wyraźnie. Co było przypadkiem niezbyt szczęśliwym, ponieważ oświetlały również gigantyczny posąg Quelcamisoatla, Pierzastego Boa. Jeśli ktoś musiał się znaleźć w tym samym pomieszczeniu, co posąg, wolałby, żeby panowała w nim nieprzenikniona ciemność. A może i nie. Lepszym rozwiązaniem byłby posąg w zaciemnionym pomieszczeniu i człowiek cierpiący na bezsenność o tysiąc mil od tego miejsca, próbujący zapomnieć, jak posąg wygląda. To tylko posąg, przekonywał sam siebie Rincewind. Nie jest prawdziwy. Stworzyli go z wyobraźni, to wszystko.
 - Co to jakmutam jest? – spytała papuga.
 - To ich bóg.
 - Żartujesz?
 - Nie, poważnie. To Quelcamisoatl. Pół człowiek, pół kura, pół

- jaguar, pół wąż, pół skorpion i pół szalony.
- Papuga poruszyła dziobem, obliczając w pamięci.
 - To razem w jakiej tam daję trzech morderczy maniaków.
 - Tak, to się mniej więcej zgadza – przyznał posąg.
 - Ale z drugiej strony – zapewnił z naciskiem Rincewind – uważam za niezwykle ważne, by ludzie mieli prawo praktykowania kultu w zgodzie z własną tradycją. A teraz chyba już pójdziemy, więc...
 - Proszę nie zostawiajcie mnie tutaj! – jęknął posąg. – zabierzcie mnie ze sobą.
 - Może być trudne, hm, bardzo trudne...- Rincewind cofnął się nerwowo. – Nie chodzi o mnie, rozumiesz, ale tam, skąd pochodzę, powszechne są rasowe uprzedzenia wobec trzydziestostopowych osób z kłami i szponami i naszyjnikami z czaszek na całym ciele. Obawiam się, że miałbyś problemy z adaptacją.
 - Papuga dziobnęła go w ucho.
 - Głos dobiega zza posągu, ty durny jakmutam – zaskrzeczała.
 - Okazało się, że dobiega z otworu w podłodze. Z głębi jamy krótkowzrocznie spojrzała na Rincewinda blada twarz. Była starsza, dobrodusza i chyba czymś zmartwiona.
 - Witaj – powiedział Rincewind.
 - Nie masz pojęcia, co to znaczy znowu usłyszeć przyjazny głos – twarz wykrzywiła się w uśmiechu. – Gdybyś mógł mi pomóc tak jakby, no... wyjść stąd...
 - Słucham? – zdziwił się Rincewind. – Przecież jesteś więźniem, prawda?
 - Niestety, tak jest w istocie.
 - Nie jestem przekonany, czy mogę ot, tak sobie, uwalniać więźniów. Wiesz, mogłeś przecież popełnić wszystko...
 - Zapewniam cię, że nie jestem winien żadnej zbrodni.
 - No tak... Ty tak twierdzisz – stwierdził pośpiesznie Rincewind. – Ale Tezumeni osądzili...
 - Jakmutam jakmutam jakmutam! – wrzasnęła mu w ucho papuga, podskakując na ramieniu. – czy nie masz

bladego? Gdzieś ty się chował? To więzień w świątyni! Trzeba ratować więźniów ze świątyni! Przecież tylko po to tam siedzą, u licha!

- - * Przynajmniej tak to wyglądało z daleka. Z bliska nie.
 - Wcale nie – warknął gniewnie Rincewind. – Nie znasz się. On pewnie siedzi tu, żeby zostać złożony w ofierze. Mam rację?
 - Spojrzał na więźnia, szukając potwierdzenia. Twarz przytaknęła.
 - Istotnie, masz rację. Dokładniej: żywcem obdarty ze skóry.
 - No właśnie – zwrócił się Rincewind do papugi. – Widzisz? A myślisz, że zjadłaś wszystkie rozumy. Siedzi tu, żeby zostać żywcem obdarty ze skóry.
 - Każdy jej skrawek zostanie usunięty z towarzyszeniem niezrównanego bólu – dodał więzień tonem wyjaśnienia.
 - Rincewind urwał. Zdawało mu się, że zna znaczenie słowa “niezrównany” i w żaden sposób nie wiązało się ono ze słowem “ból”
 - Jak to? Każdy skrawek?- upewnił się.
 - W samej rzeczy.
 - O rany. A co takiego zrobiłeś?
 - Więzień westchnął.
 - Nigdy byś nie uwierzył...- zaczął.
- Władca demonów pozwolił, by lustro pociemniało. Przez chwilę bębnił palcami po biurku. Potem chwycił rurę komunikacyjną i dmuchnął. Po chwili odezwał się stłumiony głos:
 - Słucham szefie?
 - Słucham, sir! – poprawił gniewie król.
 - Głos wymruczał coś niezrozumiale.
 - Słucham, SIR – dodał.
 - Czy niejaki Quelcamisoatl u nas pracuje?
 - Sprawdzę, szefie – Głos ucichł. Potem, powrócił. –

Pracuje, szefie.

- Jest księciem, diukiem, hrabią albo baronem? – zainteresował się władca.
 - Nie, szefie.
 - No to kim jest?
 - Po drugiej stronie zapanowała cisza.
 - No? – ponaglił król.
 - Nikim ważnym, szefie.
 - Przez moment król gniewnie wpatrywał się w rurę. Starasz się, myślał. Kreślisz palny, chcesz coś zorganizować, chcesz ludziom pomóc, a oni tak się zachowują...
 - Przysłać go do mnie – rozkazał.
- Na zewnątrz muzyka zabrzmiała w ostrym crescendo i umilkła nagle. Z dalekiej dżungli obserwowało ceremonię tysiące lśniących oczu. Najwyższy kapłan powstał i wygłosił mowę. Eryk rozpromienił się jak dynia w Zaduszki. Tezumeni długim szeregiem wnosili kosze klejnotów, które przed nim rozsypywano. Potem najwyższy kapłan wygłosił drugą mowę. Ta kończyła się chyba pytaniem.
 - Świetnie – powiedział Eryk. – Doskonale. Tak trzymać. – Podrapał się za uchem i spróbował: - Wszystkim przyznaję pół dnia wolnego
 - Najwyższy kapłan powtórzył pytanie tonem odrobinę zniecierpliwionym.
 - Ja nim jestem, w samej rzeczy – rzekł Eryk na wypadek, gdyby nie było to jasne. – Odgadłeś bezbłędnie.
 - Najwyższy kapłan przemówił znowu. Tym razem odrobina nie została wzięta pod uwagę. - Powtórzmy to jeszcze raz – rzekł władca demonów. Oparł się wygodnie na tronie. – Przypadkiem trafiłeś kiedyś na Tezumenów i uznałeś, jeśli dobrze pamiętam twoje sformułowanie, że są “bandą beznadziejnych frajerów z epoki kamiennej, którzy siedzą sobie w bagnie i nikomu nie zawadzają”. Zgadza się? Po czym wstąpiłeś w umysł któregoś z ich najwyższych kapłanów... zdaje się, że w owym czasie czcili jakiś patyk... doprowadziłeś go do oblędu, skłoniłeś plemiona do zjednoczenia, sterroryzowania sąsiadów i stworzenia na

kontynencie nowego narodu, wyznającego teorię, że wszyscy ludzie powinni zostać doprowadzeni na szczyt ceremonialnych piramid i tam pocięci na kawałki kamiennymi nożami. – Król zajrzał do notatek. – A tak, niektórzy mieli jeszcze być obdarci żywcem ze skóry – dodał. Quelcamisoatl przestąpił z nogi na nogę.

- Następnie – ciągnął król – natychmiast rozpoczęli długotrwałą wojnę z praktycznie wszystkimi dookoła, sprowadzając śmierć i zniszczenie na tysiące mniej więcej przyzwoitych ludzi, i tak dalej i tak dalej. No więc takim działaniom musimy położyć koniec!
- Quelcamisoatl odchylił się lekko do tyłu.
 - To było takie, no... hobby. Myślałem, no... że to właściwe zachowanie, mniej więcej. Śmierć zniszczenie i w ogóle...
 - Tak myślałeś, co? – warknął król. – Śmierć tysięcy w przybliżeniu niewinnych ludzi? Którzy wymknęli się nam z rąk? – Pstryknął palcami. – O tak. Prosto do swoich krain szczęśliwych łowów czy czego tam jeszcze. W tym cały problem. Nie dostrzegacie Ogólnego Obrazu. Spójrz na Tezumenów. Posępni, bez wyobraźni, obsesyjni... Do tej pory mogliby wynaleźć całą biurokrację i system podatkowy, który umysły całego kontynentu zmieniłby w żużel. Zamiast czego są tylko bandą drugorzędnych krwawych morderców. Co za strata.
- Quelcamisoatl wiercił się niespokojnie. Król zaczął bujać się na tronie.
 - A teraz wrócisz do nich i powiesz, że ci przykro – rzekł
 - Słucham?
 - Powiesz, że zmieniłeś zdanie. Powiesz, że tak naprawdę to żądasz od nich, żeby dniem i nocą pracowali, by ulżyć doli swych bliźnich. To będzie piękne zagranie.
 - Co? – nie zrozumiał Quelcamisoatl. Był wyraźnie wzburzony. – Chcesz, panie, żebym się zamanifestował?
 - Przecież już cię widzieli, prawda? Obejrzałem posąg.

Jest bardzo podobny.

- No...tak. Pojawiłem w snach i w ogóle – przyznał niepewnie demon.
 - No właśnie. Bierz się do dzieła.
 - Quelcamisoatl był z jakiegoś powodu bardzo nieszczęśliwy.
 - Ehm – zaczął. – Chcesz, panie, żebym się naprawdę, no, zmaterializował To znaczy osobiście pojawił na miejscu?
 - Tak!
 - Oj...
- Więzień otrzepał się i wyciągnął do Rincewinda pomarszczoną dłoń.
 - Wielkie dzięki. Ponce da Quirm.
 - Słucham?
 - Tak się nazywam.
 - Aha
 - To godne, starożytne nazwisko – oznajmił da Quirm, szukając we wzroku Rincewinda śladów kpiny.
 - Piękne – przyznał mag obojętnie.
 - Szukaliśmy Źródła Młodości – mówił dalej da Quirm.
 - Rincewind zmierzył go wzrokiem od stóp do głów.
 - Znaleźliście? – spytał uprzejmie.
 - Niespecjalnie. Nie.
 - Rincewind zajrzał do jamy.
 - Mówiłeś “my” – zauważył. – Gdzie są pozostali?
 - Trafiła ich religia.
 - Rincewind zerknął na posąg Quelcamisoatla. Wyobrazenie sobie, jakiego rodzaju to religia, nie wymagało specjalnej wyobraźni.
 - Myślę – stwierdził z namysłem – że powinniśmy stąd wyjść.
 - Szczera prawda – zgodził się starzec. – I to szybko. Zanim pojawi się Władca Świata.
 - Rincewind zeszywniał. Zaczyna się, pomyślał. Wiedziałem, że to musi się źle skończyć i teraz właśnie się zaczęło. Pewnie mam instynkt do takich rzeczy.
 - Skąd o tym wiesz? – zapytał.

- Mają takie proroctwo. Właśnie nawet nie proroctwo, ale raczej całą historię świata, od początku do końca. Jest spisana na ścianach tej piramidy – wyjaśnił uprzejmie da Quirm. – Słowo daję, nie chciałbym być na miejscu tego Władcy. Oni mają plany.
- Eryk wstał.
 - Posłuchajcie mnie uważnie – rzekł. - Nie mam zamiaru dłużej tego znosić. Jestem w końcu władcą...
- Rincewind obejrzał najbliższe posągu bloki. Tezumeni poświęcili dwie kondygnacje, dwadzieścia lat i dziesięć tysięcy ton granitu, by wyjaśnić, co zrobią z Władcą Świata. Rezultat był hm... obrazowy. Nie pozostawia mu cienia wątpliwości, że są zirytowani. Można nawet posunąć się dalej i wydedukować, że są rozłoszczeni.
 - Ale po co dawali mu na początku te klejnoty? – zapytał, wskazując palcem.
 - Cóż, jest przecież Władcą – wyjaśnił da Quirm. – należy mu się trochę szacunku.
- Rincewind kiwnął głową. Była w tym jakaś sprawiedliwość. Jeśli człowiek należał do plemienia zamieszkującego bagno pośrodku wilgotnej dżungli, nie znał metalu, dostał takiego boga jak Quelcamisoatl, a potem spotkał kogoś, kto twierdził, że zarządza całym tym interesem, to pewnie byłby skłonny poświęcić nieco czasu, by mu wytłumaczyć, jak bardzo jest rozczarowany. Tezumeni nigdy nie odkryli powodów dla subtelnego postępowania z bóstwami. Świetnie uchwyciono podobieństwo do Eryka. Wzrokiem podążał za opowieścią na sąsiednią ścianę. Ten blok pokazywał postać bardzo podobną do Rincewinda. Z papugą na ramieniu.
 - Chwileczkę! – zawołał. – To ja!
 - Zobacz jeszcze, co z tobą robią na następnym bloku – poradziła złośliwie papuga. – Jakmutam ci się przekreśli.
 - Rincewind spojrzał na sąsiedni blok. Jakmutam wręcz mu zawirował.
 - Wyjdziemy stąd po cichutku – oznajmił stanowczo. – I nie zatrzymamy się, żeby im podziękować za

przyjęcie. Zawsze potem możemy wysłać liścik.
Wiecie, żeby nie wyjść na gburów.

- Chwileczkę – poprosił da Quirm, gdy Rincewind szarpnął go za ramię. – Nie miałem dotąd okazji przeczytania wszystkich bloków. Chcę zobaczyć, jak się skończy świat...
 - Nie wiem, jak skończy się dla kogoś innego – odparł ponuro Rincewind, wciągając go do tunelu. – Ale wiem, jak skończy się dla mnie.
- Wyszedł na światło porannej jutrzeńki – i to było właściwe. Błędem było wyjście wprost na półokrąg Tezumenów. Trzymali włócznie. Miały pięknie wyciosane z obsydianu groty, które – podobnie jak miecze- nie były nawet w przybliżeniu tak zaawansowane, co zwykła, masowo produkowana i bezduszna broń stalowa. Czy przyjemniej jest wiedzieć, że człowiek zostanie przebity autentycznym egzemplarzem sztuki ludowej, a nie paskudnym, pochodzącym z kuźni przedmiotem, wykutym przez ludzi nie mających kontaktu z cyklami natury?
 - Raczej nie, uznał Rincewind.
 - Zawsze twierdziłem – oznajmił da Quirm – że we wszystkim należy szukać dobrych stron.
 - Rincewind, przywiązany do sąsiedniego kamiennego bloku, z trudnością odwrócił głowę
 - A gdzież one są w tej konkretnej sytuacji? – zapytał.
 - Da Quirm spojrzał ponad bagnem i koronami drzew w dżungli.
 - No... Na przykład mamy stąd wspaniały widok.
 - Rzeczywiście - przyznał Rincewind. - wiesz, nigdy nie ująłbym tego w taki sposób. Masz absolutną rację. To widok, jaki będzie się pamiętać do końca życia. Co zresztą nie wymaga specjalnego wysiłku pamięci.
 - Nie musisz być taki sarkastyczny. To przecież była tylko luźna uwaga.
 - Chcę do mamy – odezwał się Eryk ze środkowego bloku.
 - Głowa do góry, mały – pocieszał go da Quirm. –

Przynajmniej zostaniesz złożony w ofierze dla czegoś wartego ofiary. Przed chwilą właśnie im zasugerowałem, żeby spróbowali używać kół ustawionych pionowo, mogą się wtedy toczyć. Obawiam się, że nie są przesadnie otwarci na nowe idee. Mimo to, nil desperandum. Póki życia, póty nadziei.

- Rincewind warknął. Jeśli czegoś naprawdę nie mógł znieść, to ludzi nieustraszonych a obliczu śmierci. Sam pomysł naruszał w nim coś absolutnie fundamentalnego.
 - Powiem więcej – dodał da Quirm. – Wydaje mi się...- na próbę przetoczył się z boku na bok, napinając trzymające go liany.
 - Tak... Mam wrażenie, że kiedy wiązali te sznury... tak, stanowczo...
 - Co? Co? – powtarzał nerwowo Rincewind
 - Zdecydowanie – stwierdził da Quirm. – Jestem absolutnie pewien. Związali je bardzo mocno i profesjonalnie. Nie ustąpią ani odrobiny.
 - Dziękuję – burknął Rincewind.
- Płaski obszar na szczycie ściętej piramidy miał całkiem spore rozmiary. Było tu dość miejsca dla posągów, kapłanów, kamiennych bloków, kanałów ściekowych, linii produkcyjnych kamiennych noży i wszelkich innych elementów, niezbędnych Tezumenom dla hurtowego usuwania produktów religii. Tuż przed Rincewindem kilku kapłanów pracowicie wyśpiewywało listę skarg dotyczących bagien, moskitów, braku rud metali, wulkanów, pogody, że obsydian ciągle się tępi, problem z bogiem jak Quelcamisoatl, że koła nigdy nie działają jak należy, choćby nie wiem jak często kłaść je na płaski popychać i tak dalej. Kapłani większości religii zwykle chwalą i dziękują odpowiednim bóstwom albo w rezultacie głębokiej pobożności, albo w nadziei, że on czy ona zrozumie aluzję i zacznie zachowywać się odpowiedzialnie. Tezumeni, rozejrzawszy się dokładnie po swoim świecie, doszli do śmiałego wniosku, że jest źle i gorzej już właściwie nie może. Udoskonalili zatem sztukę melodyjnego narzekania.

- To już niedługo – oznajmiła papuga, siedząca na posągu któregoś z mniej ważnych bóstw Tezumenów.
- Dostała się tam w rezultacie ciągu zdarzeń, obejmujących wiele skrzeków, chmurę pierza i trzech tezumeńskich kapłanów ze spuchniętymi kciukami.
- Najwyższy kapłan właśnie wykonuje jamutam ku czci Ouelcamisoatla - mówiła dalej konwersacyjnym tonem. – Ściągnęliście sporo publiczności.
- Przypuszczam, że nie dasz rady zeskoczyć tu i przedziobać tych lian? – spytał Rincewind.
- Nie ma szans.
- Tak myślałem.
- Wkrótce wszędzie słońce – podjęła papuga.
- Rincewind miał wrażenie, że zabrzmiało to nadmiernie optymistycznie.
 - Poskarżę się, demonie – jęczał Eryk. – Poczekaj, niech tylko mama się dowie. Moi rodzice mają wpływy...
 - Dobrze – zgodził się słabym głosem Rincewind. – Może wytłumaczysz kapłanowi, że jeśli wytnie ci serce, jutro rano mama przybiegnie do szkoły i złoży skargę.
- Tezumeńscy kapłani pokłonili się słońcu, a oczy zebranego w dole tłumu skierowały się w stronę dżungli..... gdzie coś się działo. Słychać było trzask tratowanego poszycia. Ptaki tropikalne wylatywały z wrzaskiem ponad drzewa. Rincewind, naturalnie, nie mógł tego widzieć.
 - Nie powinieneś mówić, że chcesz być władcą świata – powiedział.- No bo właściwie czego się spodziewałeś? Trudno oczekiwać, żeby ci ludzie cieszyli się na twój widok. Nikt nie lubi , kiedy wraca gospodarz.
 - Ale oni chcą mnie zabić!
 - To ich sposób wyrażenia, metaforycznie rzecz ujmując, że mają już dość czekania, aż pomalujesz korytarze i naprawisz rynny.
- W dżungli panowało zamieszanie. Zwierzęta wybiegały z gąszczy

jakby uciekały przed pożarem. Głuche wstrząsy wskazywały, że padają drzewa.

- Ostatni przerażony jaguar wybiegł z krzaków i pomknął drogą. Bagaż pędził o kilka stóp za nim.
- Pokrywały go pędy, liście i pióra rozmaitych rzadkich odmian dzunglowego ptactwa, z których kilka było teraz jeszcze rzadszych. Jaguar mógłby umknąć, odskakując w prawo lub w lewo, ale przeszkodziła mu zaciemniająca mózg groza. Popęlił błąd i obejrzał się, by sprawdzić, co go ściga. Był to ostatni błąd w jego życiu.
 - Pamiętasz tę swoją skrzynię? – zapytała papuga.
 - Co z nią?
 - Biegnie tutaj.
- Kapłani spoglądali w dół, na pędzący kształt. Bagaż miał prostą zasadę traktowania wszelkich obiektów znajdujących się pomiędzy nim a jego celem: ignorował je. W tej właśnie chwili, wbrew wszelkim swym instynktom, mocno zalekniony, a przed wszystkim a całkowitej nieświadomości aktualnych wydarzeń, sam Quelcamisoatl postanowił się zmaterializować na szczycie piramidy. Niektórzy kapłani zauważyli go. Noże wypadły im z rąk.
 - Ehm... – pisnął demon.
 - Inni kapłani obejrzel się.
 - Dobrze. A teraz słuchajcie uważnie - popiskiwał Quelcamisoatl, przykładając maleńkie dłonie do głównych ust, by ktoś go usłyszał.
- Sytuacja była niezwykle krępująca. Lubił być bogiem Tezumenów, pochlebiało mu głębokie oddanie obowiązkom religijnym, był wdzięczny za posąg ze znakomicie uchwyconym podobieństwem. I naprawdę było mu przykro, że musi ujawnić, iż pod jednym bardzo istotnym względem rzeźbiarz się pomylił. Quelcamisoatl miał sześć cali wzrostu.
 - Słuchajcie – powtórzył. – To bardzo ważne...
- Niestety, nikt nigdy nie dowiedział się dlaczego. Dokładnie w tej chwili Bagaż dotarł na szczyt piramidy – nóżki pracowały mu niczym

śmigła - i z wyskoku wylądował na platformie.

- Rozległ się krótki, urwany pisk.
- Świat jest zabawny, stwierdził da Quirm. Trzeba się śmiać, bo w przeciwnym wypadku człowiek oszaleje. Prawda? W jednej chwili przywiązani do kamiennych bloków czekali na niezrównane tortury, a w następnej zaoferowano im śniadanie, czystą odzież, gorącą kąpiel i darmowy przejazd do granic królestwa. Można było uwierzyć, że bóg naprawdę istnieje Oczywiście, Tezumeni wiedzieli, że bóg istnieje i że jest teraz niedużą irytującą i tłustą plamą na szczycie piramidy. Co oznacza pewne problemy. Bagaż przykucnął na głównym placu miasta. Cały kler siedział dookoła i obserwował go uważnie na wypadek, gdyby zrobił coś zabawnego albo religijnego.
 - Zostawisz go tutaj? – zdziwił się Eryk.
 - To nie takie proste – wyjaśnił Rincewind. – Zwykle dołącza. Lepiej odejdzmy stąd jak najszybciej.
 - Ale zabierzemy daninę, prawda?
 - Sądzę, że to wyjątkowo marny pomysł. Oddalmy się stąd dyskretnie, póki są w dobrym nastroju. Bagaż straci wkrótce urok nowości
 - A ja muszę podjąć swoje poszukiwania Źródła Młodości – dodał da Quirm.
 - No tak... – mruknął Rincewind
 - Poświęciłem temu całe życie – dodał z dumą starzec.
- Rincewind zmierzył go wzrokiem.
 - Naprawdę?
 - Tak. Wyłącznie temu. Od chłopięcych lat
- Wyraz twarzy Rincewinda sugerował niebotyczne zdumienie.
 - W takim razie - zaczął tonem jakim przemawia się do dziecka – czy nie byłoby lepiej...no wiesz, rozsądniej... gdybyś wziął się za...
 - Co? – spytał Quirm.
 - Zresztą nieważne. Ale coś ci powiem. Żeby ocalić cię przed, no wiesz, przed nudą, damy ci w prezencie tę cudowną gadającą papugę. – Rincewind chwycił ją błyskawicznie, trzymając kciuku z dala od zagrożenia. – To ptak dżungli – dodał. – Byłoby

- okrucieństwem zmuszać go do życia w mieście.
 - Urodziłam się w klatce, ty durny jakmutam! – wrzasnęła papuga.
- Rincewind spojrzał jej prosto w oczy, nos, dziób.
- Albo to, albo pieczeń – zagroził.
- Papuga otworzyła dziób żeby złapać go za nos, oceniła to, co malowało się na jego twarzy i zrezygnowała.
- Polly chce ciasteczko – wymamrotała, dodając *sotto voce*:- jakmutamjakmutamjakmutam...
 - Moja własna kochana ptaszyna – ucieszył się da Quirm. – Będę dbał i nią.
 - ...jakmutamjakmutamjakmutam...
- Weszli do dżungli. Kilka minut później potruchtał za nimi BagażW królestwie Tezumenów nastąpiło południe.Z wnętrza głównej piramidy dobiegały odgłosy rozbijania bardzo wielkiego posągu.
- Kapłani siedzieli w kręgu i rozmyślali głęboko. Od czasu do czasu któryś z nich wstał i wygłaszał mowę.Było jasne, że nakreślono ogólne wnioski. Ustalono na przykład, że gospodarka królestwa zależy od przemysłowej produkcji noży z obsydianu, że sąsiednim podbitym królestwom niezbędne są stanowcze rządy, a także cięcie, kłucie i wypruwanie flaków z polecenia stanowczych rządów oraz że straszliwy los czeka narody nie mające bogów. Ludzie bezbożni mogą porwać się na wszystko. Mogą zwrócić się przeciwko wspaniałym tradycjom mądrości i ofiarności (cudzej), które uczyniły królestwo tym, czym jest dzisiaj. Mogą zacząć się zastanawiać, po co – skoro nie mają boga – są potrzebni wszyscy ci kapłani... Na wszystko.
- Zwięźle ujął to Mazuma, najwyższy kapłan, gdy oświadczył:
 - *Zgnieciona-postać-ze-złamanym-nosem, szpon jaguara, trzy pióra, stylizowany kolczasty mrówkojad.*
- Po chwili przystąpiono do głosowania.
- Wieczorem kamieniarze królestwa pracowali nad nowym posągiem. Najkrócej mówiąc, przedstawiał prostopadłościan z nóżkami.Władca demonów bębnił palcami o biurko. Nie roztkliwiał się nad losem Quelcamisoatla, który będzie musiał spędzić kilka stuleci w jednym z niższych piekieł, zanim wyhodzi

sobie nowe ciało. Dobrze mu tak, wrednemu pokurczowi. Nie chodziło mu też o wydarzenia na piramidzie. W końcu cała sztuka w życzeniowym interesie polegała na tym, żeby klient otrzymał dokładnie to, o co prosił, i dokładnie to, czego naprawdę nie chciał. Po prostu miał wrażenie, że nie panuje nad sytuacją. To śmieszne, oczywiście. Gdyby już doszło do najlepszego, zawsze się może zmaterializować i osobiście dopilnować sprawy. Wolał jednak, by ludzie wierzyli, że wszystko, co złe, przytrafia im się jedynie zrzędzeniem losu i przeznaczenia. Była to jedna z niewielu rzeczy, jakie sprawiały mu przyjemność. Wrócił do zwierciadła. Po chwili musiał wyregulować przekaźnik temporalny. W jednej chwili wśród dusznych, wilgotnych dżungli Klatchu, w następnej...

- Myślałem, że wracamy do mojego pokoju – poskarżył się Eryk.
 - Ja też tak myślałem – odparł Rincewind krzycząc, by być słyszonym wśród huków.
 - Pstryknij jeszcze raz palcami, demonie.
 - Nigdy w życiu! Istnieje mnóstwo miejsc gorszych od tego!
 - Ale tu jest gorąco i ciemno.
- Rincewind musiał się z tym zgodzić. Było też dygocząco i hałaśliwie. Kiedy oczy przyzwyczaiły się do mroku, dostrzegł tu i tam kilka plamek światła. Ich słaby blask sugerował, że znaleźli się wewnątrz czegoś w rodzaju łodzi. Wokół siebie wyczuwał drewno; pachniało mocno wiórkami i klejem. Jeśli to naprawdę łódź, to miała ciężkie wodowanie – po pochylni wysypanej kamieniami.
 - Wstrząs pchnął go ciężko na wręgę.
 - Muszę przyznać – poskarżył się Eryk – że jeśli tutaj mieszka najpiękniejsza kobieta na świecie, to marnie sobie wybrała budur. Mogłaby chyba rozrzucić parę poduszek.
 - Budur? – zdziwił się Rincewind.
 - Musi go mieć. – odparł z dumą Eryk. – Czytałem o tym. Wypoczywa w nim
 - Powiedz mi, czy odczuwałeś kiedy potrzebę zimnej kąpieli i szybkiego biegu dookoła boiska?

- Nigdy.
- Powinieneś spróbować.
- Grzmoty ucichły nagle.
- Coś szczeknęło z dala. Taki dźwięk mogłoby wydawać zamykane ciężkie wrota. Rincewindowi zdawało się, że słyszy cichnące w dali głosy i śmiechy. Nie był on szczególnie przyjemny, przypominał raczej drwiący chichot. I komuś nie wróżył niczego dobrego. Rincewind domyślił się komu. Przestał się zastanawiać, jak tu trafił, cokolwiek owo “tutaj” mogło oznaczać. Pewnie jakieś złowrogie siły... Przynajmniej chwilowo nią działało się z nim nic strasznego.. Prawdopodobnie była to tylko kwestia czasu. Pomacał wokół siebie i trafił palcami na coś, co okazało się – po zbadaniu w świetle padającym z dziury w sęku – sznurową drabinką. Dalsze poszukiwania jednym z końców kadłuba – czy co to było – doprowadziło go do niewielkiej, okrągłej kłapy. Zaryglowanej od środka. Poczołgał się z powrotem do Eryka.
 - Tam są drzwi – szepnął.
 - Dokąd prowadzą?
 - O ile zauważyłem, stoją w miejscu.
 - Sprawdź dokąd, demonie!
 - To może być bardzo zły pomysł – ostrzegł Rincewind.
 - Do roboty!
- Rincewind poczołgał się smętnie ku kłapie i pociągnął za kabel. Kłapa uchyliła się ze zgrzytem.
- W dole – całkiem daleko w dole – leżał mokry bruk, nad którym wiatr przesuwiał kilka strzępków porannej mgiełki. Rincewind westchnął cicho i opuścił drabinę. Dwie minuty później stali w półmroku na czymś, co wyglądało jak spory plac. We mgle majaczyło kilka budynków.
 - Gdzie jesteśmy? – spytał Eryk.
 - Nie mam pojęcia.
 - Jak to? Ty nie wiesz?
 - Nawet nie próbuję zgadywać.
- Eryk przyjrzał się ponuro spowitej w mgłę architekturze.
 - Marna szansa, żeby w takiej dziurze spotkać najpiękniejszą kobietę świata – burknął
- Rincewindowi przyszło do głowy, żeby sprawdzić, z czego

właśnie wypełzli.Podniósł głowę.

- Ponad nimi – wysoko ponad nimi – wsparty na czterech masywnych nogach opadających do wielkiej platformy na kołach wznosił się ogromny, bez wątpienia drewniany koń, a raczej zad wielkiego drewnianego konia.Budowniczy mógł umieścić klapę wyjściową w bardziej eleganckim miejscu, jednak zrezygnował z tego dla własnych, humorystycznych zapewne powodów.
 - Hm... – mruknął Rincewind.
- Ktoś kaszlnął.Rincewind spojrzał w dół.
- Rozpraszająca się mgła odsłoniła szeroki krąg uzbrojonych mężczyzn. Wielu z nich uśmiechało się, wszyscy dźwigali masowo produkowane, bezduszne, ale przede wszystkim ostre i długie włócznie.
 - Ach – powiedział Rincewind.
- Obejrzał się na klapę. Wyjaśniała właściwie wszystko.
 - Jedyne, czego nie pojmuję – wyznał dowódca gwardii – to dlaczego tylko wy dwaj. Spodziewaliśmy się raczej setki. Wyprostował się na stołku, poprawił na kolanach ciężki hełm z pióropuszem i uśmiechnął się z zadowoleniem.
 - Ech wy Efebianie! – rzekł. – Zabawni jesteście. Myślicie, żeśmy się wczoraj urodzili? Przez całą noc tylko piłowanie i walenie młotkami, a potem widzimy przed bramą tego wściekle wielkiego drewnianego konia z otworami wentylacyjnymi. Otwory wentylacyjne! Widzicie, zawsze spostrzegamy takie szczegóły. No to zebrałem chłopców, wyszliśmy całkiem wcześniej i wciągnęliśmy go przez bramę, zgodnie z oczekiwaniami. A potem przysiedliśmy cicho i czekaliśmy, co z tego wyjdzie. Że tak powiem. Do rzeczy. – Przysunął nie ogoloną twarz do twarzy Rincewinda. – Macie, rozumiesz, wybór. Miejsce na górze albo miejsce na dole. Wystarczy, że powiem słowo. Nie grajcie ze mną w dyski*, to i ja z wami nie będę.
 - Jakie miejsce? – Rincewindowi kręciło się w głowie od

zapachu czosnku.

- W wojennej triremie – wyjaśnił uprzejmie sierżant. – Trzy miejsca, rozumiesz, jedno na drugim. Triremy. Przykuwają cię do wiosła na długie lata, rozumiesz, i wszystko zależy, czy siedzisz na górze, na świeżym powietrzu, czy na dole... – Wyszczrzył zęby. – Na mniej świeżym. Jak chcecie chłopcy. Dogadamy się, to będziecie się martwić tylko o mewy. Do rzeczy. Slaczego tylko dwóch?
- Odsunął się znowu.
 - Przepraszam bardzo – wtrącił Eryk. – Czy to przypadkiem nie Tsort?
 - Chyba nie żartujesz sobie ze mnie mój mały? Pamiętaj, że są jeszcze quinquiremy. A tam by ci się wcale nie spodobało.
 - Nie... – odparł Eryk. – Proszę pana – dodał jeszcze. – Ale wie pan, jestem tylko małym chłopcem, który wpadł w złe towarzystwo.
 - Dziękuję ci uprzejmie – zawołał rozgoryczony Rincewind.- Tylko przypadkiem wykreśliłeś parę okultystycznych kręgów i ...
 - Sierżancie! Sierżancie! – Do warowni wpadł zdyszany żołnierz.
- Sierżant obejrzał się.
 - Jest jeszcze jeden, sierżancie! Tym razem tuż przed bramą!
- Sierżant uśmiechnął się tryumfująco.
 - A więc to tak? Byliście tylko grupą rozpoznawczą i mieliście otworzyć bramę czy coś w tym rodzaju! Dobrze. Pójdziemy teraz i załatwimy sprawę z waszymi kolegami. Zaraz wracamy. – Wskazał żołnierzowi jeńców. – Ty zostajesz. Jeśli się ruszą, zrób im coś okropnego.
- Rincewind i Eryk zostali sami z gwardzystą.
 - Wiesz chyba, co narobiłeś? – zapytał chłopiec. – Przeniosłeś nas do czasów Wojny Tsortiańskiej. Tysiące lat! Przerabialiśmy to w szkole, drewnianego

konia i wszystko! Jak to piękna Eleonora została porwana Efebianom... a może przez Efebian... a potem było to oblężenie, żeby ją odzyskać i w ogóle.
– Urwał znowu. – O rany – dodał.

- Rincewind rozejrzał się po pokoju. Nie wyglądał na starożytny, ale chyba nie powinien, bo przecież jeszcze nie był. W każdym punkcie czasu było teraz, jeśli człowiek już się tam znalazł. A raczej wtedy. Próbował sobie uświadomić, co zapamiętał z historii klasycznej, ale była to jedynie mieszanina bitew, jednookich olbrzymów i kobiet, których twarze tysiące okrętów wysyłały w morze.

- Nie rozumiesz? – szepnął Eryk. Okulary błyszczały mu gorączkowo. – musieli wciągnąć tego konia, zanim weszli do środka żołnierze. Wiemy teraz, co się wydarzy! Możemy zdobyć fortunę!
- Ale jak właściwie?
- No... – Chłopiec zawahał się. – Moglibyśmy obstawiać zwycięskie konie na wyścigach albo co...
- Świetny pomysł.
- Tak, a potem...
- Wystarczy tylko stąd uciec, sprawdzić czy w Tsorcie mają wyścigi, a jeszcze później bardzo się postarać i przypomnieć sobie imiona koni które tysiące lat temu te wyścigi wygrywały.
-
-

■ * W owym czasie gra w kulki nie była jeszcze znana na Dysku.

- Znowu zapatrzyli się smętnie w podłogę. Wszystkie podróże w czasie mają jedną wspólną cechę: człowiek nigdy nie jest do nich przygotowany. Rincewind uznał, że może teraz liczyć tylko na jedno: że znajdzie Źródło Młodości Quirma i zdoła jakoś przeżyć parę tysięcy lat, by w odpowiedniej chwili zamordować własnego dziadka. Był to jedyny aspekt podróży w czasie, który wydał mu się choćby śladowo interesujący. Zawsze uważał, że jego przodkom należy się jakaś nauczka..Ale to zabawne... Przypomniał sobie słynnego drewnianego konia, we wnętrzu którego oblegający

przedostali się do ufortyfikowanego miasta. Ale nie pamiętał, żeby były dwa. Kolejna myśl pojawiła się z nieuchronnością przeznaczenia.

- Przepraszam – zwrócił się do strażnika. – Ten...hm... ten drugi drewniany przedmiot u bramy...nie jest zapewne koniem, prawda?
- Wy przecież wiecie – burknął żołnierz.- jesteście szpiegami.
- Założę się, że jest podłużny i mniejszy – dodał Rincewind. Jego twarz była wizerunkiem niewinnej ciekawości.
- Wygrałbyś. Brakuje wam dranie, wyobraźni.
- Rozumiem. – Rincewind złożył ręce na kolanach.
- Spróbuj ucieczki – zaproponował gwardzista. – No spróbuj. Zobaczysz co się stanie.
- Przypuszczam, że twoi koledzy wciągną to coś do miasta – kontynuował Rincewind.
- Możliwe – przyznał żołnierz.
- Eryk zachichotał.
- Żołnierz uświadomił sobie nagle, że z oddali dobiegają jakieś krzyki. Ktoś usiłował zadać w róg, ale po kilku taktach zacharczał i ucichł.
- Chyba się biją, sądząc po odgłosach – zauważył Rincewind. – Ludzie zdobywają ostrogi, dokonują bohaterskich czynów, zwracają na siebie uwagę oficerów...Takie rzeczy. A ty siedzisz tu z nami.
- Muszę pozostawać na posterunku!
- Właściwa postawa. Nieważne, że wszyscy inni walczą mężnie, broniąc miasta i kobiet przed wrogami. Ty stój tutaj i pilnuj nas. Oto duch bojowy. Pewnie wystawią ci pomnik na rynku, jeśli zostanie jakiś rynek. “Spełnił swój obowiązek”, wyrzują na cokole.
- Żołnierz zastanawiał się. Tymczasem od strony głównej bramy dobiegł straszliwy trzask pękającego drewna.
- Wiecie ... – wykrztusił zrozpaczony. – Skoczę tam tylko na chwilę...
- Nie martw się o nas – zachęcił Rincewind. – Przecież

nawet nie mamy broni.

- Rzeczywiście – ucieszył się żołnierz. – Dzięki.
- Uśmiechnął się niespokojnie do Rincewinda i odbiegł w kierunku hałasu. Eryk spojrzał na maga z czymś zbliżonym do podziwu.
- To było niesamowite – oświadczył.
- Ten chłopak daleko zajdzie – stwierdził Rincewind. – Prawdziwy wojskowy myśliciel. No dobrze. A teraz uciekamy.
- Dokąd?
- Rincewind westchnął. Wiele już razy usiłował wyjaśnić ludziom podstawy swej filozofii, ale jakoś nic do nich nie docierało.
 - - Nie martw się o “dokąd” – powiedział. – z moich doświadczeń wynika, że ta kwestia zawsze się jakoś rozwiąże. Kluczowym słowem jest “stąd”**Kapitan** ostrożnie wyjrzał zza barykady i skrzywił się gniewnie.
 - To tylko mała skrzynia sierżancie – burknął. – Przecież nie zmieści się tam nawet jeden człowiek.
 - Przepraszam, sir – odparł sierżant. Jego twarz była obliczem kogoś, komu świat w ciągu ostatnich kilku minut zmienił się całkowicie. – Ma w sobie co najmniej czterech. Kaprała Nieużytki i jego grupę, sir. Posłałem ich, żeby ją otworzyli.
 - Jesteście pijani, sierżancie?
 - Jeszcze nie, sir – odparł z przekonaniem podoficer.
 - Małe skrzynki nie zjadają ludzi, sierżancie.
 - Potem się rozzłościła, sir. Widzi pan, co zrobiła z bramą.
 - Kapitan raz jeszcze wyjrzał zza połamanych belek.
 - I pewnie wypuściła nogi i przesłała aż tutaj, co? – mruknął ironicznie.
 - Sierżant uśmiechnął się z wyraźną ulgą. W końcu jakoś się dogadali.
 - Trafił pan, sir – potwierdził. – nóżki. Setki nóżek, sir.
- Kapitan zmierzył go gniewnym wzrokiem. Sierżant przybrał wyraz twarzy pokerzysty – umiejętność przekazywana przez pokolenia

podoficerów od czasów, kiedy jeden protopłaz przekazał innemu, niższemu stopniem protopłazowi, żeby zebrał drużynę kijanek i Wziął... Tę...Plażę... Kapitan miał osiemnaście lat i niedawno skończył akademię, gdzie z honorami zaliczał takie przedmioty jak Taktyka Klasyczna, Ody Pożegnalne i Gramatyka Wojskowa. Sierżant miał lat pięćdziesiąt pięć, a zamiast się kształcić, spędził około czterdziestu z nich atakując lub odpierając ataki harpii, ludzi, cyklopów, furii i przerażających stworów z nogami. Czuł się wykorzystywany.

- Mam zamiar przyjrzeć się tej skrzyni sierżancie...
- To nie najlepszy plan, sir, jeśli wolno...
- ... a kiedy już się jej przyjrzę, zaczną się kłopoty.
- Sierżant zasalutował

- Tak jest, sir – przepowiedział.

- Kapitan parsknął wzgardliwie, wspiął się na barykadę i ruszył ku skrzyni, która tkwiła milcząca i nieruchoma pośrodku kręgu zniszczenia. Tymczasem sierżant, za najgrubszą belką, jaką udało mu się znaleźć, osunął się do pozycji siedzącej i z niezwykłą determinacją naciągnął hełm na uszy.

- Rincewind przekradał się ulicami miasta. Eryk człapał za nim niechętnie.

- Czy poszukamy gdzieś Eleonory? – zapytał.
- Nie – odparł stanowczo Rincewind. – Poszukamy, czegoś innego: wyjścia. I przejdziemy przez nie.
- To niesprawiedliwe!
- Ona jest o tysiące lat starsza od ciebie! To znaczy owszem, rozumem dojrzała kobieta może być atrakcyjna. Niech będzie. Ale nic z tego nie wyjdzie.
- Żądam, żebyś mnie do niej zaprowadził – zajęczał Eryk. – Natychmiast!

- Rincewind zatrzymał się tak nagle, że Eryk wpadł na niego.

- Posłuchaj mnie – rzekł. – Trafiliśmy w sam środek najśłynniejszej ze wszystkich bezsensownych wojen w historii. Lada minuta tysiące wojowników stanie do śmiertelnego starcia, a ty chcesz, żebym znalazł tę babę, którą nie wiadomo czemu wszyscy się zachwycają, i powiedział: przepraszam, ale mój

przyjaciół chciałby zapytać, czy się pani z nim umówi. No więc nic z tego.

- Podszedł do kolejnej bramy w miejskich murach. Była mniejsza od głównej, nie pilnowana, a we wrota wbudowano małą furtkę. Rincewind odsunął sztaby.
 - Nie mamy z tym nic wspólnego – oznajmił. – Jeszcze się nie urodziliśmy, jesteśmy za młodzi, żeby walczyć, to nie nasza sprawa i nie zrobimy już nic, co mogłoby zmienić bieg historii. Jasne?
 - Otworzył furtkę, czym zaoszczędził wysiłku całej efebianskiej armii. Właśnie mieli zastukać.
 - **Przez cały dzień wrzała bitwa.** Późniejsi historycy rozpisywali się w kronikach o porywanych pięknych kobietach, o wypływających flotach, drewnianych zwierzętach i walczących ze sobą bohaterach. Całkowicie jednak pominęli rolę odegrane przez Rincewinda, Eryka i Bagaż. Efebianie jednak zauważyli, z jakim entuzjazmem biegną ku nim tsortiańscy żołnierze... nie tyle pragnąc włączyć się do walki, ile raczej próbując oddalić się od czegoś innego. Historycy pominęli również inny ciekawy fakt dotyczący starożytnej sztuki wojennej Klatchu. Tkwiła ona jeszcze na etapie prymitywizmu, toteż walka toczyła się tylko między żołnierzami i nie dopuszczano do niej publiczności. Najkrócej mówiąc, wszyscy wiedzieli, że jedna lub druga strona w końcu zwycięży, kilku pechowych generałów straci głowy, wielkie kwoty pieniędzy zostaną wypłacone zwycięzcom tytułem kontrybucji, wszyscy wrócą do domu na żniwa, a ta przeklęta baba będzie musiała zdecydować, po czyjej jest stronie, latawica jedna... W rezultacie życie na ulicach Tsortu toczyło się mniej więcej normalnie. Obywatele wymijali napotykaną grupki walczących albo próbowali sprzedawać im kebab. Kilkunastu bardziej przedsiębiorczych zaczęło już rozbierać drewnianego konia na pamiątki. Rincewind nawet nie próbował tego zrozumieć. Zajął miejsce w ulicznej kawiarni i obserwował zażarte walki między straganami. Nawoływania: “Dojrzałe oliwki!” zakłócały jęki rannych i krzyki “Proszę uważać, bitwa się zbliża!” Nie pojmował, dlaczego żołnierze przepraszają, wpadając na kupujących. Nie pojmował

również, jak przekonał właściciela kawiarni, by przyjął monetę, na której wybito profil kogoś, kogo praprapradziadek jeszcze się nie urodził. Jakoś zdołał mu wmówić, że przyszłość to inny, daleki kraj.

- I lemoniadę dla chłopca – dodał.
- Rodzice pozwalają mi pić wino – zaznaczył Eryk. – mam prawo do jednej szklanki.
- Na pewno – zgodził się Rincewind.

- Właściciel pracowicie przetarł blat, zmieniając powłokę mętów i rozlanej retsiny w cienką warstwę werniksu
 - Przyszliście na bitwę? – spytał.
 - W pewnym sensie – potwierdził ostrożnie Rincewind.
 - Na waszym miejscu nie kręciłbym się zanadto. Mówią, że podobno jakiś cywil wpuścił tu Efebian... Nie żebym miał coś przeciwko Efebianom, wspaniali ludzie... – dodał szybko właściciel, kiedy obok przetoczyła się grupka walczących. – Podobno obcy. To oszustwo. Nie wolno używać cywilów. Już go szukają, żeby mu to wytłumaczyć...
 - Wykonał gest rąbania. Rincewind jak zahipnotyzowany wpatrywał się w jego rękę. Eryk otworzył usta..... jęknął i chwycił się za goleń.
 - Wiedzą jak wygląda?- spytał Rincewind.
 - Chyba nie.
 - No cóż, życzę im szczęścia. – Rincewind wyraźnie poweselał.
 - Co się stało chłopakowi?
 - Skurcz.
 - Nie musiałeś mnie przecież kopać – syknął Eryk, gdy właściciel wrócił za ladę.
 - Masz absolutną rację. To była moja własna inicjatywa.
 - Ciężka dłoń opadła na ramię Rincewinda. Obejrzał się i spojrzał prosto w twarz efebiańskiego centuriona.
 - To on, sierżancie – oświadczył stojący obok żołnierz.
 - Kto by pomyślał...- mruknął dowódca. Uśmiechnął się do Rincewinda złowroźnie. – Idziemy przyjacielu.

Wódz chce z tobą zamienić słówko.

- Niektórzy wspominają Aleksandra, niektórzy Herkulesa, Hektora czy Lysandera albo innych herosów. Właściwie w całej historii multiversum ludzie mówią różne miłe rzeczy o każdym wymachującym mieczem osiłku z uszami jak kalafiory – przynajmniej kiedy znajduje się w pobliżu – słusznie podejrzewając, że tak jest bezpieczniej. To zabawne, że zwykle szacunkiem cieszą się wodzowie proponujący strategię typu: “Niech teraz pięćdziesiąt tysięcy z was, chłopaki, ruszy szturmem na nieprzyjaciela”. A wodzowie myślący, którzy mówią rzeczy w stylu: “Może zbudujemy takiego wściekle wielkiego drewnianego konia, a potem wywalimy tylną bramę, kiedy oni będą stali dookoła zwierzaka i czekali, aż wyjdziemy”, uważani są za tylko trochę lepszych od zwykłych oferm i nie za ludzi, którym można pożyczyć pieniądze. To dlatego, że większość wodzów pierwszego rodzaju to ludzie odważni, gdy tymczasem tchórze są o wiele lepszymi strategami. Rincewinda zawleczono przed efebiańskich dowódców, którzy założyli stanowisko dowodzenia na miejskim rynku, by wygodnie obserwować szturm wewnętrznej cytadeli, wznoszącej się na niebotycznie wysokim wzgórzu. Nie za blisko jednak, ponieważ obrońcy rzucali kamienie. Kiedy przybył na miejsce, omawiali właśnie strategię. Przeważała opinia, że gdyby do szturm na szczyt wysłać odpowiednio wielką liczbę żołnierzy, dostatecznie dużo przeżyje spadające kamienie, by zdobyć cytadelę. Takie właśnie myślenie jest podstawą wszelkich wojskowych strategii. Gdy zbliżali się Rincewind z Erykiem, kilku co bardziej imponująco odzianych wodzów podniosło głowy, obrzuciło ich wzrokiem sugerującym, że larwy zasługują na większe zainteresowanie, po czym odwróciło się znowu. Jedyne człowiek, sprawiający wrażenie zadowolonego z ich widoku..... wcale nie wyglądał na żołnierza. Miał zmatowiałą zbroję i hełm z pióropuszem, którego używał chyba kiedyś jako pędzla. Poza tym był chudy i prezentował postawę wojskową godną łasicy. Jego twarz wydawała się dziwnie znajoma. Rincewind uznał, że jest całkiem przystojna. “Zadowolony z ich widoku” określa jego postawę jedynie przez porównanie. Był jedynym, który otwarcie zauważył ich obecność. Siedział na stołku i karmił Bagaż kanapkami.
 - A, witajcie – rzucił posępnie. – To wy.

- Zdumiewające, ile informacji da się zmieścić w kilku słowach. Aby osiągnąć ten sam rezultat, mężczyzna mógłby powiedzieć: mam za sobą ciężką noc, sam muszę załatwiać wszystko, od budowy drewnianego konia po kolejność prania, ci idioci są mniej więcej tak pomocni jak gumowy młotek, zresztą wcale nie chciałem tu przyjeżdżać, a teraz na dodatek jeszcze wy; witajcie.
 - Wskazał ręką Bagaż, który wyczekująco uchylił wieko.
 - To twój? – zapytał.
 - Mniej więcej – przyznał Rincewind. – Ale nie stać mnie za wszystko, co on robi.
 - Zabawny kuferek, nieprawdaż...- stwierdził żołnierz. – Znaleźliśmy go, gdy zapędzał w kąt pięćdziesięciu Tsortian. Jak sądzisz, dlaczego to robił?
 - Rincewind zastanowił się pospiesznie.
 - Ma zadziwiającą zdolność wyczuwania, kiedy ludzie myślą o zrobieniu mi krzywdy – odparł.
 - Spojrzał na Bagaż ponuro, jak można patrzeć na bezczelnego, złośliwego i ogólnie nieznośnego psa, który po latach gryzienia gości nagle przewrócił się na swój parszywy grzbiet i udaje Słodkiego Szczeniaczka, by zabawić dozorcę domu.
 - Tak? – mruknął niezbyt zdziwiony mężczyzna. – Magia zapewne?
 - Tak.
 - Coś w tym drewnie, prawda?
 - Tak.
 - Mieliśmy szczęście, że nie zbudowaliśmy z czegoś takiego naszego konia.
 - Tak.
 - Zdobyłeś go z pomocą magii?
 - Tak.
 - To właśnie pomyślałem. – Rzucił w Bagaż kolejną kanapką. – Skąd jesteś?
 - Rincewind postanowił mówić prawdę.
 - Z przyszłości – oświadczył.
 - Nie wywarł oczekiwanego wrażenia. Mężczyzna kiwnął tylko głową.
 - No no – powiedział. I dodał: - Wygraliśmy?

- Tak.
- Aha. Pewnie nie pamiętasz żadnych wyników wyścigów konnych? – zapytał bez wielkiej nadziei.
- Nie.
- Tak właśnie przypuszczałem. Dlaczego otworzyłeś nam bramę?
- Rincewind uznał, że choć to dziwne, jednak twierdzenie, że zawsze entuzjastycznie popierał efebiańska politykę, nie byłoby właściwe. Postanowił raz jeszcze spróbować prawdy. To nowatorskie podejście wydało mu się warte eksperymentu.
 - Szukałem wyjścia – powiedział.
 - Żeby uciec...
 - Tak.
 - Zuch. To jedyna rozsądna decyzja, biorąc pod uwagę okoliczności.
- Zerknął na Eryka, który wpatrywał się w stojących wokół stołu, pogrążonych w dyskusji wodzów.
 - Hej, chłopcze – rzucił – Chcesz zostać żołnierzem, kiedy dorośniesz?
 - Nie, sir.
- Mężczyzna poweselał nieco.
 - Słuszna decyzja.
 - Chciałbym zostać eunuchem, sir. – dodał Eryk.
- Rincewind odwrócił głowę tak nagle, jakby ktoś ją szarpnął.
 - Dlaczego? – spytał zdumiony, a oczywista odpowiedź przyszła mu w tej samej chwili, gdy Eryk jej udzielił:
 - Żeby całymi dniami pracować w haremie!
- Wypowiedzieli to chórem. Mężczyzna chrząknął.
 - Nie jesteś jego nauczycielem, co?
 - Nie.
 - Myślisz, że ktoś mu już wytłumaczył...?
 - Nie.
 - Może byłoby dobrze, gdybym ściągnął tu któregoś z centurionów, żeby z nim pogadał? Byłbyś zdumiony, jak ci chłopcy opanowali właściwy język.

- Bardzo by mu się to przydało – zgodził się Rincewind.
- Mężczyzna wziął hełm, westchnął, skinął na sierżanta i wygładził zmarszczki na swoim płaszczu. Był to brudny płaszcz.
 - Powinienem chyba jakoś cię ukarać albo co – stwierdził.
 - Za co?
 - Popsułeś bitwę.
 - Popsułem bitwę?
- Mężczyzna westchnął.
 - Chodź przejdziemy się kawałek. Sierzancie... wy i kilku chłopców, proszę.
- Kamień przemknął nad nimi ze światem i rozpadł się na kawałki.
 - Mogą nas tu trzymać jeszcze całe tygodnie – mruknął pośepnie mężczyzna, kiedy już odeszli. Bagaż dreptał cierpliwie za nimi.- Jestem Lavaeolus. A ty?
 - To mój demon – wyjaśnił Eryk.
 - Lavaeolus uniósł brew, co miało wyrażać niezwykle u niego zaskoczenie.
 - Doprawdy? No cóż, różni się trafiają. Jak sobie radzi z przedostawaniem się do zamkniętych miejsc?
 - Lepiej mu idzie z wydostawaniem.
 - No tak...
- Lavaeolus przystanął pod ścianą budynku, potem zaczął przechadzać się tam i z powrotem, pukając czubkiem sandała o bruk.
 - Chyba tutaj, sierzancie – stwierdził po chwili.
 - Tak jest, sir.
 - Widziałeś ich – powiedział Lavaeolus, gdy sierżant i jego ludzie zaczęli podważać kamienie. – Tych przy stole. Dzielni chłopcy, nie zaprzeczę, ale przyjrzyj się im. Zajęci pozowaniem do zwycięskich posągów i pilnowaniem, żeby historycy prawidłowo zanotowali ich imiona. Przez piekielne długie lata oblegaliśmy to miasto... Tak wypada, to bardziej po wojskowemu, mówili. Uwierzysz, że im się to podobało? A przecież kiedy wszystko już się skończy, kogo to

będzie obchodzić? Załatwmy tę wojnę i wracajmy do domu... Zawsze to powtarzam.

- Znalazłem, sir – zawołał sierżant.
- Świetnie.- Lavaeolus nawet się nie obejrzał.- No dobrze...- Roztarł dłonie. – Zróbmy, co trzeba, a będziemy mogli wcześniej iść spać. Zechcesz mi towarzyszyć? Twój pieczoszek może się przydać.
- A co będziemy robić? – zapytał podejrzliwie Rincewind.
- Mamy tylko spotkać się z pewnymi ludźmi.
- Czy to niebezpieczne?
- Kamień przebił dach pobliskiego domu.
 - Nie, niespecjalnie – uspokoił Rincewinda Lavaeolus. – W porównaniu z pozostaniem tutaj. A jeśli tamci spróbują szturmować mury, no wiesz, we właściwy, wojskowy sposób...
- Otwór prowadził do tunelu. Tunel, po kilku zakrętach, doprowadził do schodów. Lavaeolus powłókł się na górę, od czasu do czasu kopiąc kawałki cegieł, jakby miał do nich osobiste pretensje.
 - Ehm – chrząknął Rincewind. – Dokąd tędy dojdziemy?
 - To tylko tajemne przejście do cytadeli.
 - Wiesz, właśnie myślałem, że to pewnie coś takiego. Mam instynkt do tych rzeczy. I pewnie będą tam wszyscy najważniejsi Tsortianie?
 - Mam nadzieję – odparł Lavaeolus, wspinając się na kolejne stopnie.
 - I mnóstwo strażników?
 - Dziesiątki, jak przypuszczam.
 - Świetnie wyszkoleni?
 - Najlepsi – przytaknął Lavaeolus.
 - I tam właśnie zmierzamy – upewnił się Rincewind. Postanowił ocenić w pełni grozę sytuacji, tak jak się odruchowo dotyka językiem bolącego zęba.
 - Zgadza się.
 - Wszystkich sześciu.
 - I twój kufer, oczywiście.
 - A tak – mruknął Rincewind i skrzywił się w ciemności.

- Sierżant pochylił się i stuknął go lekko w ramię.
 - Proszę się nie martwić o wodza, sir – powiedział – To najlepszy wojskowy umysł na kontynencie.
 - Skąd wiesz? Czy ktoś go widział?
 - Wie pan, sir, on chce to wszystko załatwić tak, żeby nikt nie zginął. A zwłaszcza on sam. Dlatego wymyśla takie rzeczy jak ten koń, sir. I przekupywanie ludzi, i w ogóle. Wczoraj w nocy przebraliśmy się w cywilne łachy i upiliśmy się w barze z pałacowym sprzątaczem. Powiedział nam o tunelu.
 - No tak, ale to przecież tajne przejście... Na końcu będą czekać straże i w ogóle...
 - Nie, sir. Trzymają tu rzeczy do sprzątania.
- Coś brzęknęło w ciemności przed nimi: to Lavaeolus potknął się o miotłę.
 - Sierzancie...
 - Słucham, sir.
 - Otwórzcie te drzwi, dobrze?
- Eryk pociągnął Rincewinda za szatę.
 - Czego? – spytał niechętnie mag.
 - Wiesz chyba, kim jest Lavaeolus – szepnął chłopiec.
 - No...
 - To... to Lavaeolus!
 - Dasz mi spokój?
 - Nie znasz Klasyki?
 - To chyba nie te wyścigi konne, które mieliśmy zapamiętać?
- Eryk westchnął ciężko.
 - Lavaeolus doprowadził do upadku Tsortu, ponieważ był taki sprytny – wyjaśnił. – A potem dziesięć lat zajął mu powrót do domu i miał mnóstwo przygód z kusicielkami, syrenami i zmysłowymi czarodziejkami.
 - Widzę, że studiowałeś jego dzieje. Dziesięć lat, powiadasz? A daleko mieszkał?
 - Jakieś dwieście mil stąd – odparł Eryk z zapalem.
 - Gubił drogę, co?

- Kiedy już wrócił, walczył z zalotnikami swojej żony i w ogóle, a jego ukochany stary pies rozpoznał go i zdechł.
- Ojej...
- Przez piętnaście lat nosił w pysku jego kapcie. To go zabiło.
- Straszne.
- I wiesz co, demonie? Wszystko to jeszcze się nie wydarzyło. Moglibyśmy oszczędzić mu kłopotów
- Rincewind zastanawiał się chwilę.
- Na początek możemy mu poradzić, Żeby zabrał lepszego nawigatora. – stwierdził.
- Coś zgrzytnęło – to żołnierze otworzyli drzwi.
- Wszyscy do szeregu, czy jak tam brzmi ta durna komenda – rzucił Lavaeolus. – Magiczna skrzynia przodem, jeśli można. Nikogo nie zabijać, póki nie będzie to absolutnie konieczne. Starajcie się niczego nie potłuc. Wszystko jasne? Naprzód..
- Drzwi wychodziły na korytarz zdobiony kolumnami. Usłyszeli stłumione głosy. Oddział posuwał się w tamtą stronę, aż dotarł do ciężkiej zasłony. Lavaeolus odetchnął głęboko, odsunął ją, wystąpił naprzód i rozpoczął przygotowaną mowę.
- Chcę, żeby to było całkiem jasne – rzekł. – Nie życzę sobie żadnych nieprzyjemności, żadnego wzywania straży ani nic. W ogóle żadnych krzyków. Zabierzemy tylko młodą damę i wrócimy do domu, gdzie zresztą powinien siedzieć każdy, kto ma odrobinę rozsądku. W przeciwnym razie będę musiał zarębać wszystkich, a nie znoszę kiedy zmusza się mnie do takich czynów.
- Oświadczenie to nie wywarło specjalnego wrażenia na publiczności. Pewnie dlatego, że składała się ona z małego dziecka na nocniku.
 - Lavaeolus zmienił bieg myśli i kontynuował płynnie:
 - Z drugiej strony jednak, jeśli nie powiesz mi, gdzie są

wszyscy, poproszę sierżanta, żeby ci wlepił porządnego klapsa.

- Dziecko wsadziło sobie palec do buzi.
 - Mama pilnuje Cassie – wyjaśniło. – czy jesteś panem Beekle?
 - Nie sędzę – odparł Lavaeolus.
 - Pan Beekle jest głupi – Wyjęło palec z buzi i tonem osoby podsumowującej trudne badania dokończyło: - Pan Beekle to nocnik.
 - Sierżancie!
 - Tak, sir?
 - Strzeżcie tego dziecka.
 - Tak jest. Kapralu!
 - Słucham, panie sierżancie?
 - Zajmijcie się dzieciakiem.
 - Tak jest, sierżancie. Szeregowy Archeios!
 - Tak jest, panie kapralu – odezwał się żołnierz głosem ciężkim od ponurych przewidywań.
 - Pilnujecie bachora.
- Szeregowy Archeios rozejrzał się. Pozostali mu tylko Rincewind z Erykiem, a chociaż cywil jest pod każdym względem najniższą możliwą szarżą i plasuje się gdzieś za kompanijnym osłem, wyraz ich twarzy wskazywał, że nie mają zamiaru słuchać poleceń.
 - Lavaeolus przeszedł przez komnatę i przytknął ucho do kolejnej zasłony.
 - Moglibyśmy opowiedzieć mu o przyszłości. – szepnął Eryk.
 - Spotkały go... to znaczy spotkają...najprzeróżniejsze przygody. Katastrofy morskie, czary, cała jego załoga zamieniona w zwierzęta i takie rzeczy.
 - Owszem. Możemy mu zaproponować, żeby wracał piechotą.
 - Kotara odsunęła się z szelestem.
 - Za nią siedziała kobieta: pulchna, przystojna, choć o nieco wyblakłej urodzie, w czarnej sukni i ze śladami wąsika nad górną wargą. Za nią chowało się kilkoro dzieci w różnych rozmiarach.

Rincewind naliczył ich przynajmniej siedmioro.

- Kto to? – zainteresował się Eryk.
- Ehem – odpowiedział Rincewind. – Myślę że to chyba Eleonora Tsortiańska.
- Nie żartuj – szepnął chłopiec. – Wygląda jak moja mama. Eleonora był dużo młodsza i bardziej...- Głos go zawiódł. Wykonał rękami kilka falistych ruchów, sugerujących kształt kobiety, która zapewne nie potrafiłaby utrzymać równowagi.
- Rincewind starał się nie patrzeć na sierżanta.
 - Owszem – zgodził się, czerwieniejąc trochę. – Widzisz, tego...Hm... Masz absolutną rację, ale hm, obleżenie trwało bardzo długo, prawda, więc przy tym i owym...
 - Nie wiem, co to ma do rzeczy – stwierdził surowo Eryk. – Klasyka nic nie wspomina o dzieciach. Piszą, że przez cały czas snuła się po wieżach Tsortu i rozpaczała po utraconej miłości.
 - No cóż, przypuszczam że trochę rozpaczała – zgodził się Rincewind. – Tyle że nie można rozpaczać bez przerwy, a na tych wieżach było pewnie dość chłodno.
 - Od snucia można się ciężko pochorować – kiwnął głową sierżant.
- Lavaeolus z namysłem przyglądał się kobiecie. Wreszcie podszedł i skłonił się.
 - Przypuszczam, że wiesz po co przyszliśmy, pani.
 - Jeśli dotknięcie moich dzieci, zacznę krzyczeć – oznajmiła zimno Elenora.
- Po raz kolejny Lavaeolus wykazał, że obok znanych umiejętności taktycznych cechowała go wyraźna niechęć do marnowania przemowy, którą ułożył sobie w głowie
 - Piękna panno – zaczął. – Pokonaliśmy wiele niebezpieczeństw, by cię uratować i oddać w ramiona ukochanego...- Głos mu się załamał. –Hm... Ukochanej rodziny. Tego... Wszystko to poszło całkiem nie tak jak

- powinno, prawda?
- Nic nie poradzę – odrzekła Elenora. – Oblężenie trwało strasznie długo, król Mauzoleum był bardzo miły, a w Efebie i tak nigdy mi się nie podobało...
 - Gdzie są wszyscy? To znaczy Tsortianie? Poza tobą.
 - Jeśli już musisz wiedzieć, to są na murach i zrzucają kamienie.
 - Lavaeolus rozpaczliwie rozłożył ręce.
 - A nie mogłaś, czy ja wiem, przesłać nam liściku albo coś w tym rodzaju? Zaprosić na jakieś chrzciny?
 - Kiedy tak dobrze się bawiliście...
 - Lavaeolus odwrócił się i z ponurą miną wzruszył ramionami.
 - W porządku – powiedział. – Świetnie. QED*. Nie ma sprawy.
 - Marzyłem, żeby wyjechać z domu i przez dziesięć lat tkwić w bagnie z bandą tępych kretynów. U siebie nie miałem nic ważnego do roboty, ot, zwykłe królestwo do rządzenia, nic więcej. No dobrze. Niech tam. Możemy właściwie wracać. Nie mam pojęcia, jak im to powiedzieć- przyznał z goryczą. – tak świetną mieli zabawę. Pewnie wydadzą jakiś gigantyczny bankiet, będą rechotać i upiją się. To w ich stylu. Obejrzał się na Rincewinda i Eryka.
 - Równie dobrze możecie mi powiedzieć, co się teraz wydarzy. Jestem przekonany, że wiecie.
 - - Hm- stwierdził Rincewind.
 - Miasto się spali – wyjaśnił Eryk. – Zwłaszcza niebotyczne wieże. Nie zdążyłem ich obejrzeć. – dodał smętnie.
 - Kto to zrobił? Ich czy nasi?
 - Chyba wasi.
 - Lavaeolus westchnął.
 - To do nich podobne- mruknął. Zwrócił się do Elenory. – Nasi...to znaczy moi ludzie spalą miasto – ostrzegł. – Brzmi to niezwykle bohatersko. Akurat to najbardziej lubią. Może lepiej, żebyś poszła z nami. Zabierz dzieci. Niech to będzie rodzinna wycieczka. Czemu nie?

- Eryk przyciągnął ucho Rincewinda do swoich warg.
 - To tylko żart, prawda? – zapytał cicho. – Ona nie jest naprawdę piękną Elenorą? Nabierasz mnie?
 - Z tymi gorąco krwistymi rasami zawsze tak to wygląda – wyjaśnił Rincewind. – Po trzydziestce piątce zaczynają się szybko starzeć.
 - To przez makaron – dodał sierżant.
 - Ale czytałem, że była najpiękniejszą...
 - No wiesz – mruknął sierżant. – Jeśli masz zamiar wszystko czytać...
 - Rzecz w tym – wtrącił pospiesznie Rincewind – co nazywają dramatyczną koniecznością. Nikt by się nie zainteresował wojną stoczoną o całkiem miłą damę, dość atrakcyjną przy sprzyjającym oświetleniu. Prawda?
- Eryk był bliski łez.
 - Ale tam było napisane, że jej twarz tysiąc okrętów wyprawiała w morze...
 - To się nazywa metafora.
- * Quod erat demonstrandum – co było do okazania.
 - Kłamstwo – wyjaśnił uprzejmie sierżant.
 - Zresztą nie powinienes wierzyć we wszystko, co wyczytasz z Klasyki – dodał Rincewind. – Oni nigdy nie sprawdzają faktów. Usiłują tylko wcisnąć ci legendy.
- Lavaeolus tymczasem spierał się zawzięcie z Elenorą.
 - Dobrze już, dobrze- powiedział, - Zostań, jeżeli koniecznie chcesz. Co mnie to obchodzi? Dobra, chłopcy. Wracamy. Co wy robicie, szeregowy?
 - Jestem koniem, sir – wyjaśnił żołnierz.
 - To jest pan kucyk – oznajmiło dziecko w hełmie szeregowego Archeiosa na głowie.
 - Kiedy skończycie być koniem, poszukajcie lampy oliwnej. Poobijałem sobie kolana w tym tunelu.
- Nad Tsortem huczały płomienie. Od Osi całe niebo rozjaśniła czerwona poświata.

- Rincewind i Eryk obserwowali to ze skały na brzegu.
 - To wcale nie są niebotyczne wieże – stwierdził po chwili Eryk. – Widzę ich szczyty i z pewnością nie dotykają nieba
 - Pewnie chodziło im o nietykalne wieże. – domyślił się Rincewind, gdy kolejna padła w płomieniach w ruiny miasta. – I z tym też się pomylili.
- Przyglądali się chwilę w milczeniu.
 - To zabawne – rzekł wreszcie Eryk. – Jak potknąłeś się o Bagaż, upuściłeś lampę i w ogóle.
 - Tak - przyznał krótko Rincewind.
 - Widocznie historia zawsze znajdzie jakiś sposób, żeby się dopełnić.
 - Tak.
 - Ale dobrze, że Bagaż wszystkich jakoś uratował.
 - Tak.
 - Śmiesznie wyglądały te dzieciaki, kiedy siedziały mu na wieku.
 - Tak.
 - Wszyscy byli chyba zadowoleni.
- W każdym razie walczące armie z całą pewnością. Nikt nie pytał o zdanie cywilów, jako że nie można polegać na ich zdaniu o wojnie. Wśród żołnierzy, a przynajmniej wśród żołnierzy pewnej rangi, klepano się po ramionach, opowiadano anegdoty i przyjaźnie wymieniano tarcze. Panowała powszechna opinia, że z pożarami, oblężeniami, armadami, drewnianymi końmi i całą resztą, była to naprawdę znakomita wojna. Głośne śpiewy niosły się ponad falami ciemnymi jak wino.
 - Posłuchaj tylko – odezwał się Lavaeolus, wynurzając się z mroku między wyciągniętymi na piach okrętami Efebian. – Zaraz zaczną piętnaście zwrotek “Raz młody bosman Filodefus miał wychodne”. Zapamiętaj moje słowa. Banda idiotów z mózgami pod tuniką.
 - Usiadł na kamieniu.
 - Dranie – rzekł z przekonaniem.
 - Myślisz, że Elenora wytłumaczy to jakoś swojemu narzeczonemu? – spytał Eryk.

- Chyba tak – mruknął Lavaeolus. – one to potrafią.
 - Wyszła za mąż. I miała mnóstwo dzieci – dodał Eryk.
- Lavaeolus wzruszył ramionami.
 - Szaleńcza chwila namiętności – stwierdził. Spojrzał badawczo na Rincewinda. – Hej ty, demonie – rzucił. – Jeśli wolno, chciałbym zamienić słówko na osobności.
- Poprowadził maga między okręty. Stał po mokrym piasku, jakby coś ciążyło mu na duszy.
 - Dziś w nocy z odpływem wyruszam do domu – rzekł. – nie warto tu tkwić, skoro wojna skończona i w ogóle.
 - Dobry pomysł.
 - Jeśli czegoś naprawdę nienawidzę, to morskich podróży – wyznał Lavaeolus. Pczęstował kopniakiem najbliższy okręt. – To przez tych idiotów, którzy biegają w kółko i wrzeszczą. Wciągnąć to, opuścić tamto, zrzucić jeszcze coś innego. I dostaję morskiej choroby.
 - Ja nie znoszę wysokości – wtrącił współczująco Rincewind.
- Lavaeolus raz jeszcze kopnął w burtę. Wyraźnie zmagął się z problemem natury emocjonalnej.
 - Rzecz w tym – wykrztusił w końcu – że może wiesz, czy dopłynę cały do domu.
 - Co?
 - To tylko paręset mil. Podróż nie powinna trwać długo. Jak myślisz?
 - No...
- Rincewind spojrzał na twarz wodza. Dziesięć lat, myślał. I jeszcze różne dziwaczne przygody ze skrzydlatymi jak i tam i morskimi potworami. Z drugiej strony, czy coś mu przyjdzie z ostrzeżenia?
 - Dopłyniesz cały i zdrowy – powiedział. – Jesteś wręcz słynny z tego powodu. Twój powrót do domu przejdzie do legendy.
 - - Uff. – Lavaeolus oparł się o kadłub, zdjął hełm i otarł czoło. – Powiem szczerze, że kamień spadł mi z serca. Bałem się,

- że bogowie mogą się na mnie gniewać.
- Rincewind milczał.
 - Trochę się irytują, kiedy człowiek zaczyna wpadać na takie pomysły jak drewniane konie albo tunele – mówił dalej Lavaeolus. – Wiesz są tradycjonalistami. Wolą, żeby ludzie zwyczajnie się wyrzynali, Myślałem, rozumiesz, że gdyby pokazać ludziom, jak w łatwiejszy sposób uzyskać to, na czym im zależy, przestaliby się tak bezsensownie zachowywać.
- Daleko na brzegu męskie głosy wzniosły się w pieśni:
 - Z sześciu westalek z Heliodelifilodelfiboschronenos tyś jedyna...
 - To się nigdy nie udaje – stwierdził Rincewind.
 - Ale chyba warto próbować. Prawda?
 - Jasne.
- Lavaeolus klepnął go w plecy.- Nie martw się tak – powiedział. – Teraz sprawy mogą już tylko iść ku lepszemu.
- Weszli w ciemne fale, gdzie stał na kotwicy okręt Lavaeolusa. Rincewind patrzył, jak wódz płynie, wchodzi na pokład, jak wysuwają wiosła – albo może wsuwają, czy jak to się tam nazywa, kiedy wtykają je w te dziury po bokach – i okręt wypływa wolno z zatoki.
- Wiatr doniósł jeszcze na brzeg ostatnie słowa:
 - Przesuńcie ostry koniec w tę stronę, sierżancie.
 - Aye, aye, sir!
 - I nie krzyczcie. Czy kazałem wam krzyczeć? Dlaczego wszyscy muszą tak wrzeszczeć? Schodzę pod pokład trochę odpocząć.
- Rincewind powlókł się plażą z powrotem.
 - Kłopot w tym – powiedział – że sprawy nigdy nie idą ku lepszemu. Zostają takie same, tylko jeszcze bardziej. Ale jego i tak czeka dość zmartwień.
- Za plecami Rincewinda Eryk tylko pociągnął nosem.
 - To najsmutniejsza rzecz, jaką słyszałem.
- Na plaży armie tsortiańska i efebiańska wciąż zawodziły pełnymi głosami przy ogniskach.
 - ...była z niej wioskowa harpia...

- Chodź – rzucił Rincewind. – Wracamy do domu.
- Wiesz co zabawnego jest w jego imieniu? – spytał Eryk.
- Nie. Nie o co chodzi?
- Lavaeolus oznacza “Splukiwacz wiatrów”. To w tutejszej mowie “Rinser of winds”.
- Rincewind spojrzał na niego badawczo.
 - Jest moim przodkiem?
 - Kto wie...
 - O rany. – Rincewind pomyślał chwilę. – Szkoda. Mogłem go uprzedzić, żeby się nie żenił. I unikał odwiedzin w Ankh –Morpork.
 - Chyba go jeszcze nie zbudowano.
- Rincewind spróbował pstryknąć palcami. Tym razem poskutkowało. Astfgl wyprostował się. Zastanawiał się, co takiego mogło spotkać Lavaeolusa.
- Bogowie i demony, jako istoty spoza czasu, nie poruszają się w nim jak bańki powietrza w strumieniu. Dla nich wszystko dzieje się równocześnie. Powinno to oznaczać, że wiedząc o tym, co się wydarzy, ponieważ w pewnym sensie już się wydarzyło. Nie wiedzą, ponieważ rzeczywistość jest wielka i toczy się w niej wiele interesujących spraw. Śledzenie wszystkich przypomina korzystanie z ogromnego magnetowidu bez funkcji pauzy ani licznika taśmy. Zwykle łatwiej jest po prostu zaczekać. Któregoś dnia będzie musiał to obejrzeć. Ale teraz i tutaj, o ile można użyć tych słów dla obszaru poza czasem i przestrzenią, sprawy nie rozwijały się pomyślnie. Eryk wydawał się odrobinę bardziej sympatyczny, co było nie do przyjęcia. W dodatku zmienił chyba bieg historii, chociaż to niemożliwe, jako że bieg można historii jedynie ułatwić. Potrzebował czegoś wyjątkowego. Czegoś naprawdę destrukcyjnego dla dusz. Władca demonów uświadomił sobie, że podkręca wąsy. Kłopot z pstrykaniem palcami polega na tym, że nie wiadomo, dokąd może zaprowadzić. Wokół Rincewinda wszystko było czarne. I nie tylko w sensie braku koloru. Była to czerń twardo negująca samą możliwość istnienia jakiegokolwiek barwy. Stopy niczego nie dotykały. Miał wrażenie, że pływa. I brakowało jeszcze czegoś, choć nie potrafił określić, czego właściwie.

- Jesteś tam, Eryku?- spróbował.
- Tak – odpowiedział mu wyraźny głos tuż obok. – Jesteś tam, demonie?
- Ta...ak.
- Gdzie jesteście? Czy my spadamy?
- Nie sędzę – odrzekł Rincewind, mówiąc z własnego doświadczenia – Nie ma pędu powietrza. Kiedy spadasz, czujesz pęd powietrza. Poza tym całe życie przewija ci się przed oczami. A jak dotąd nie zauważyłem jeszcze niczego, co bym rozpoznał.
- Rincewindzie...
- Słucham?
- Kiedy otwieram usta, nie wydobywa się żaden dźwięk.
- Nie bądź... – Rincewind zawahał się. On także nie wydawał głosu. Wiedział co mówi, tyle że nie przedostawało się to do zewnętrznego świata. A przecież słyszał Eryka. Może słowa dały sobie spokój z uszami i trafiały prosto do mózgu?
- To chyba jakieś czary albo co...- uznał. – Nie ma powietrza. Dlatego nie rozchodzą się dźwięki. Normalnie wszystkie te małe kawałki powietrza uderzają o siebie jak kulki i w ten sposób powstaje głos.
- Naprawdę? O rany...
- Czyli że otacza nas absolutne nic. Nic totalne. – Rincewind zawahał się. – Jest na to takie słowo...To, co masz, kiedy już nic ci nie zostało i wszystko jest zużyte.
- Wiem. To się nazywa “rachunek”
- Rincewind zastanowił się. Brzmiało to mniej więcej właściwie.
- Dobrze - rzekł. – rachunek. W nim właśnie jesteście. Płyniemy w rachunku absolutnym. Całkowitym, zupełnym, nieprzeniknionym rachunku.
- Astfgl zaczął się gorączkować. Użył zaklęć znajdujących kogokolwiek, gdziekolwiek i kiedykolwiek, a tamtych nigdzie nie było.

W jednej chwili widział ich na brzegu, w następnej – nic. Pozostały więc tylko dwa miejsca. Na szczęście najpierw sprawdził to niewłaściwe.

- nawet parę gwiazd wyglądałoby lepiej – zauważył Eryk.
- Jest w tym wszystkim coś dziwnego – stwierdził Rincewind.
– Pomyśl: czujesz zimno?
- Nie.
- A może ciepło?
- Nie.
- Nie ma zimna, nie ma ciepła, nie ma światła, nie ma powietrza... – wyrecytował Rincewind. – Nic nie ma .
Tylko rachunek. Jak długo tu tkwimy?
- Nie wiem. Mam wrażenie, że całe wieki, ale...
- Aha. Nie mam pewności, czy istnieje czas. W każdym razie nie taki prawdziwy. Tylko taki tworzony przy okazji przez ludzi.
- *Nie spodziewałem się, że jeszcze kogoś tutaj zastanę* – zabrzmiał głos przy uchu Rincewinda.

- Był to głos nieco urażony, głos odpowiedni do narzekania, ale przynajmniej nie brzmiała w nim groźba. Rincewind pozwolił swemu ciału obrócić się.

- Mały człowieczek o szczurzej twarzy siedział ze skrzyżowanymi nogami i przyglądał mu się nieco podejrzliwie. Miał za uchem ołówek.
 - Oj... dzień dobry – powiedział Rincewind. – A gdzie właściwie jest to “tutaj”?
 - Nigdzie. Na tym rzecz polega, nie?
 - Zupełnie nigdzie?
 - Jeszcze nie.
 - No dobrze – ustąpił Rincewind – A kiedy to już będzie gdzieś?
 - Trudno powiedzieć - stwierdził człowieczek. – Patrząc na was dwóch i dodając jedno do drugiego, tempo metabolizmu i takie tam różne, powiedziałbym, że to miejsce znajdzie się gdzieś w ciągu...hm... mniej więcej, powiedzmy, pięciuset sekund. – zaczął odwijać pakunek, który trzymał na kolanach. – Masz

może ochotę na kanapkę? Skoro i tak musimy czekać...

- Co? Czy ja... – W tym momencie żołądek Rincewinda, świadom, że jeśli pozwoli mózgowi na samodzielność, ryzykuje utratą inicjatywy, wtrącił się i skłonił do pytania: - A z czym?
 - Nie mam pojęcia. A z czym chciałabyś, żeby była?
 - Słucham?
 - Nie marudź. Powiedz tylko, z czym chciałabyś, żeby była.
 - Aha... – Rincewind przyjrzał mu się uważnie. – Gdybyś miał z jajkiem i rzeżuchą...
 - Niech się stanie jajko i rzeżucha, mniej więcej – powiedział człowieczek. Sięgnął do pakunku i wręczył Rincewindowi biały prostokąt.
 - O rany – ucieszył się mag. – Co za przypadek.
 - Lada chwila powinno się zacząć. O tam... Co prawda nie mają tu jeszcze żadnych porządných kierunków, ale niech będzie.
 - Widzę tylko ciemność – poskarżył się Eryk.
 - Wcale nie – zaprzeczył tryumfująco człowieczek. – Widzisz tylko to, co jest, zanim się zainstaluje ciemność. Mniej więcej. – rzucił jeszcze- nie- ciemności niechętnie spojrzenie. – No już – mruknął.- Na co czekamy, na co czekamy...
 - A na co czekamy? – zainteresował się Rincewind.
 - Na wszystko.
 - Na wszystko co?
 - Wszystko. Nie wszystko co. Wszystko, mniej więcej.
- Astfgl rozejrzał się wśród wirujących obłoków gazowych. Przynajmniej trafił we właściwe miejsce. Koniec wszechświata był wydarzeniem, którego nie można przypadkiem ominąć. Ostatnie iskierki zamigotały i zgasły. Czas i przestrzeń zderzyły się bezgłośnie i zapadły w siebie. Astfgl odchrząknął. Można się poczuć samotnym, kiedy jest się dwadzieścia milionów lat od domu.
 - Jest tu kto?- zapytał.

- TAK.Głos zabrzmiał tuż przy jego uchu. Nawet władcom demonów zdarzają się lodowate dreszcze.
 - Ale oprócz ciebie – dodał szybko. – Widziałeś kogoś?
- Tak
 - Kogo?
- WSZYSTKICH.Astfgl westchnął.
 - Chodzi mi o to, czy widziałeś ostatnio.
- BYŁO BARDZO SPOKOJNIE, stwierdził Śmierć.
 - A niech to...
- SPODZIEWAŁEŚ SIĘ KOGOŚ INNEGO?
 - Myślałem, że mógł się tu zjawić ktoś o imieniu Rincewind – zaczął Astfgl. – Ale...
- Oczodoły Śmierci rozbłysły czerwienią.TEN MAG?
 - Nie, to de... – Astfgl urwał.
- Przez okres, który byłby – gdyby istniał jeszcze czas – kilkoma sekundami, szybował zdjęty straszliwym podejrzeniem.
 - Człowiek? – warknął.
- TO MOŻE LEKKA PRZESADA, ALE W ZASADZIE MASZ RACJĘ...
 - Niech mnie piekło pochłonie! – zaklął Astfgl.
- MAM WRAZENIE, ŻE TO JUŻ NASTĄPIŁO.
- Władca demonów wyciągnął przed siebie drżącą dłoń.

Narastająca wściekłość pokonała jego dobre maniery; czerwony jedwab rękawiczek pękł z trzaskiem, gdy wysunęły się szpony.Potem, ponieważ nigdy nie należy narażać się komuś z kosą, Astfgl powiedział:

 - Przepraszam, jeśli sprawiłem kłopot...
- I zniknął. Zawył ze złości dopiero gdy uznał, że znalazł się poza zasięgiem niezwykle czułego słuchu Śmierci.Nicość rozwijała swą nieskończoną długość przez rozległe przestrzenie na końcu czasu.Śmierć czekał. Po chwili jego kościste palce zabębniły na drzewcu kosy.Ciemność falowała wokół niego. Nie istniała już nawet nieskończoność.Spróbował zagwizdać przez zęby kilka taktów niepopularnych melodii, ale nicość wsysała wszelkie dźwięki.Wieczność dobiegła końca. Wszystkie piaski się

przesypały. Wielki wyścig między entropią a energią zakończył się i faworyt został jednak zwycięzcą. Noże powinien jeszcze raz naostrzyć kosę? Nie. To przecież nie ma sensu.

- Wszystkie kłęby absolutnie niczego rozciągały się w coś, co można by nazwać dalą, gdyby istniała czasoprzestrzenna rama, dająca takim słowom jak “dał” jakieś rozsądne znaczenie.
- Nie miał właściwie nic do roboty. MOŻE PORA KOŃCZYĆ PRACĘ, pomyślał.
- Odwrócił się, by odejść, i wtedy właśnie usłyszał najłżejszy z możliwych odgłosów. Był wobec dźwięku tym, czym foton wobec światła: tak słaby i delikatny, że z pewnością nie słyszany w huku działającego wszechświata.
- To małeńki skrawek materii rodził się w pustce. Śmierć podszedł do punktu jego pojawienia i spojrzał uważnie. I zobaczył spinacz* To już jakiś początek. Kolejne puknięcie przyniosło mały biały guzik od koszuli, wirujący łagodnie w próżni.
- Śmierć odprężył się nieco. Oczywiście, to musi trochę potrwać. Musi upłynąć czas interludium, nim wszystko to stanie się dostatecznie złożone, by wytworzyć obłoki gazowe, galaktyki, planety i kontynenty. Nie wspominając już o małych stworzonkach w kształcie korkociągów, pełzających po błotnistych kałużach i zastanawiających się, czy ewolucja warta jest wysiłku hodowania sobie płetw, nóg i organów. Jednak zaobserwowane przed chwilą zjawisko wskazywało początek niepowstrzymanego rozwoju. Musi tylko być cierpliwy, a cierpliwości nigdy mu nie brakowało. Całkiem niedługo pojawią się żywe istoty; będą rozwijać się jak szalone, biegać i śmiać się w promieniach nowego słońca. Będą się męczyć i starzeć. Śmierć usiadł. Może poczekać. Kiedy tylko okaże się im potrzebny, będzie na miejscu. Wszechświat zaistniał. Każdy na-nowo-stworzony-kosmolog powie wam, że najciekawsze rzeczy dzieją się w pierwszych kilku minutach, kiedy nicość skupia się razem, by uformować przestrzeń i czas, pojawia się mnóstwo małych czarnych dziur i tak dalej. Potem, jak twierdzą, w tej materii panuje już, no... materia. Cała zabawa dobiega końca, jeśli nie liczyć

promieniowania mikrofalowego. Z bliska jednak wydarzenia charakteryzowały się pewną jarmarczną atrakcyjnością. Mały człowieczek prychnął niechętnie.

- Za bardzo widowiskowe – ocenił. – Cały ten huk był zupełnie zbędny. Równie dobrze moglibyśmy tu mieć Wielki Syk albo jakąś muzyczkę.
- Naprawdę? – zdziwił się Rincewind.
- Tak, A na granicy dwóch pikosekundach wyglądało to trochę groźnie. Na pewno połatali byle czym. Ale tak to jest w dzisiejszych czasach. Rzemiosło upada. Kiedy byłem jeszcze chłopcem, trzeba było paru dni, żeby zrobić porządny wszechświat. Człowiek mógł być z niego dumny. A teraz poskładają go byle jak, zrzucają z przyczepy i dalej. I wiesz co?
- Nie – odparł Rincewind słabym głosem.
- Podkradają materiał z budowy. Znajdują w sąsiedztwie kogoś, kto chce sobie trochę poszerzyć wszechświat, i ani się człowiek obejrzy, a już zwiną kawał firmamentu i zrobią z niego jakąś przybudówkę.
- Rincewind wpatrywał w niego zdumiony.
- Kim ty jesteś?
- Człowieczek wyjął zza uch ołówek i w zamyśleniu przyjrzał się przestrzeni wokół Rincewinda.
- Robię rzeczy – wyjaśnił.
- Jaki rzeczy?
- A jakie byś chciał?
- Jesteś stwórcą!

- * Wielu uczonych sądzi, że powinien to być atom wodoru, co przeczy jednak obserwowanym faktom.

Każdy, kto odkrył nieznana wcześniej trzepaczkę do piany, blokującą niewinną szufladę w kuchennej szafce, wie dobrze, że pierwotna materia bezustannie dopływa do wszechświata w pewnych określonych postaciach. Pojawia się normalnie w popielniczkach, wazonach i skrytkach na rękawiczki. Wybiera formę, mającą odwrócić podejrzenia; typowe jej manifestacje to spinacze biurowe, szpilki z opakowań koszul, gałki do kaloryfera, szklane kulki, kawałki kredek, tajemnicze elementy urządzeń kuchennych i stare albumy Kate Bush. Dlaczego materia tak postępuje, nie zostało dotąd wytłumaczone. Wydaje się wszakże pewne, że materia ma Plany.

- Jest także jasne, że jako sposób konstrukcji wszechświatów stwórcy preferują czasem Wielki Wybuch, kiedy indziej zaś wybierają łagodniejszą metodę Ciągłej Kreacji. Zgodne jest to z badaniami kosmoterapeutów, którzy wykryli, że gwałtowny Wielki Wybuch może w starszym wieku wywołać u wszechświata poważne problemy psychiczne.
- Człowieczek był wyraźnie zakłopotany.
 - Nie Stwórcą. Daj spokój. Zwykłym stwórcą. Nie

biorę zleceń na wielkie elementy, gwiazdy,
gazowe olbrzymy, pulsary i takie tam.
Specjalizuję się, można by powiedzieć, w
robotcie na miarę.- Wyprostował się z dumą. –
Sam robię swoje drzewa, wiesz? – zwierzył się.-
Porządne rzemiosło. Przez lata trzeba się uczyć,
jak zrobić drzewo. Nawet jałowiec.

- Och – westchnął Rincewind.
- Nikogo nie wynajmuję, żeby kończył za mnie
robotę. Żadnych podwykonawców: To moja
dewiza. Łobuzy, zawsze każą czekać, bo akurat
instalują gwiazdy albo jeszcze coś dla kogoś
innego. – Człowieczek westchnął ciężko. –
Wiesz, ludziom się wydaje, że stwarzanie to
łatwa robota. Żw wystarczy polatać nad wodami
i pomachać trochę rękami. A to wcale nie tak.
- Nie?

○ Człowieczek podrapał się w nos.

- Na przykład szybko ci się kończą pomysły na płatki
śniegu.
- Kończą się?
- Wtedy zaczynasz myśleć, że łatwo będzie przepchnąć
dwa identyczne.
- Zaczynasz?
- Myślisz sobie: przecież jest ich bilion trylionów
squilionów. Nikt nie zauważy. Ale wtedy liczy się
profesjonalizm, mniej więcej.
- Liczy się?
- Niektórzy... – w tym miejscu stwórca obrzucił surowym
wzrokiem wirującą dookoła nie uformowaną materię
– uważają, że wystarczy zainstalować kilka
podstawowych zasad fizycznych, wziąć pieniądze i
zwiewać. A miliardy lat potem na całym niebie są
przecieki, latają czarne dziury wielkie jak głowa, a
kiedy człowiek zjawia się z reklamacją, znajduje za
ładą tylko panienkę, która powtarza, że nie wie gdzie
wyszedł szef. Osobiście sędzę, że ludzie preferują

kontakt osobisty.

- Aha... – wykrztusił Rincewind. – To znaczy... Kiedy kogoś trafi błyskawica, tego... to nie z powodu jakiś wyładowań elektrycznych i najwyższych punktów i w ogóle, ale tego... naprawdę to zaplanowałeś?
- Nie, to nie ja. Nie kieruję wszechświatem. Stwarzanie go jest wystarczająco trudne i nie wymagaj, żebym jeszcze nim sterował. Jest cała masa innych wszechświatów – dodał, a w jego głosie zabrzmiała delikatna oskarżycielska nuta. – mam listę zleceń długą jak twoje ramię.
- Sięgnął w dół i wyjął wielką, oprawną w skórę, na której musiał przedtem siedzieć. Otworzył ją z szelestem. Rincewind poczuł, że ktoś go szarpie za szatę.
 - Słuchaj – powiedział Eryk. – To chyba nie jest... nie On, prawda?
 - Mówił, że tak.
 - A co my tu robimy?
 - Nie wiem.
- Stwórca obejrzał się gniewnie.
 - Można trochę ciszej? – rzucił z irytacją.
 - Ale posłuchaj – szeptał Eryk. – Jeśli to naprawdę stwórca świata, to twoja kanapka jest relikwią religijną!
 - O rany... – jęknął Rincewind. Nie jadł już chyba od wieków. Zastanowił się, jaką karę przewidziano za zjedzenie obiektu kultu. Prawdopodobnie surową
 - Mógłbyś umieścić ją w jakiejś świątyni, a miliony ludzi przychodziłoby popatrzeć.
- Mag ostrożnie podniósł kromkę chleba.
 - Nie ma majonezu – zauważył. – Czy taka też się liczy?
- Stwórca odchrząknął i zaczął czytać na głos.
- Astfgl sunął po zboczu entropii: gniewna czerwona iskra na tle wirów międzyprzestrzeni. Wściekłość zdzierała z niego ostatnie warstwy samokontroli. Kaptur ze stylowymi różkami był teraz zaledwie strzępem czerwieni zwisającymi z czubka jednego z ogromnych, zakręconych baranich rogów wyrastających z

czaszkiZe zmysłowym trzaskiem pękł czerwony jedwab na grzbiecie i rozwinęły skrzydła. Konwencjonalnie nazywa się je skórzastymi, ale w tym otoczeniu skóra nie przetrwałaby nawet kilku sekund. Poza tym nie składa się najlepiej. Te skrzydła zrobione były z magnetyzmu i ukształtowanej przestrzeni. Rozwijały się, aż były delikatną zasłoną na tle płonącego firmamentu. Uderzały tak wolno i niepowstrzymanie, jak powstają cywilizacje. Nadal przypominały skrzydła nietoperza, ale tylko ze względu na tradycję. Gdzieś około dwudziestego dziewiątego tysiąclecia król demonów został wyprzedzony, nie dostrzegając tego nawet, przez coś niewielkiego i podłużnego, co było chyba jeszcze bardziej rozzłoszczone od niego. Do stworzenia świata potrzeba ośmiu zaklęć. Rincewind wiedział o tym aż za dobrze. Wiedział też, że zaklęcia te zostały spisane w Octavo, ponieważ egzemplarz tej książki wciąż znajdował się w Bibliotece Niewidocznego Uniwersytetu – aktualnie wewnątrz skrzyni z kutego żelaza umieszczonej na dnie specjalnie wykopanego szybu, gdzie można było opanować jej magiczną radiację. Często rozmyślał, jak się to wszystko zaczęło. Wyobrażał sobie coś w rodzaju eksplozji, tyle że od tyłu: międzygwiazdne gazy zbierają się z rykiem i formują Wielkiego A'Tuina albo przynajmniej grom. Albo cokolwiek. Tymczasem zabrzmiał cichy, melodyjny gong i tam, gdzie nie było świata Dysku, świat Dysku był, jakby przez cały czas czekał gdzieś schowany. Rincewind uświadomił sobie także, że uczucie spadania, z którym tak niedawno nauczył się żyć, było również tym uczuciem, z którym wedle wszelkiego prawdopodobieństwa umrze. Kiedy bowiem w dole pojawił się świat, przyniósł ze sobą specjalną ofertę eonu: grawitację, dostępną w szerokim zakresie natężeń z najbliższego masywnego ciała planetarnego.

- Aargh – powiedział, jak często się zdarza przy takich okazjach.
- Stwórca wciąż siedzący spokojnie w pustce, pojawił się obok spadającego maga.
 - Ładne chmury, nie sądzisz? Dobra robota – stwierdził.
 - Aargh – powtórzył Rincewind.
 - Coś się stało?

- Aargh.
- Tak to jest z ludźmi – westchnął stwórca. – zawsze gdzieś pędzą. – Przysunął się bliżej. – To nie moja sprawa, oczywiście, ale często się zastanawiałem, co wam chodzi po głowie.
- Za chwilę to będą ,moje stopy!- wrzasnął Rincewind.
- Spadający nie opodał Eryk szarpnął go za kostkę.
- Nie można się tak zwracać do stwórcy wszechświata! – zawołał. – Poproś go, żeby coś zrobił, zmiękczył grunt albo co!
- Nie jestem pewien, czy mi wolno – odparł stwórca. – Chodzi o przepisy przyczynowości. Inspektor rzuciłby się na mnie jak cetnar...cetnar... cetnar ciężaru. Chociaż chyba mógłbym wam stworzyć jakieś rzadkie bagno. Albo ruchome piaski, ostatnio bardzo popularne. Mógłbym podstawić kompletne ruchome piaski z bagnem i mokradłami en suite. Żaden problem.
- ! – odpowiedział Rincewind.
- Musisz mówić trochę głośniej. Zaczekaj chwilę.
- Znów zabrzmiał harmonijny dźwięk gongu.Kiedy Rincewind otworzył oczy, stał na plaży. Eryk również. Stwórca unosił się w pobliżu.Nie było pędu powietrza. Rincewind nie miał nawet siniaka.
- Wbiłem taki klinik między pędy i położenia – wyjaśnił stwórca, zauważywszy jego minę. – A teraz: co takiego chciałeś mi powiedzieć?
- Chciałem raczej przestać spadać...
- Aha. To dobrze. Cieszę się, że to załatwiliśmy. – Stwórca rozejrzał się z roztargnieniem. – Nie widziałeś tu gdzieś mojej książki? Kiedy zaczynałem, zdawało mi się, że trzymam ją w ręku. – Westchnął. – Następnym razem zgubię własną głowę. Kiedyś zrobiłem cały świat i całkiem zapomniałem o finglach. Ani jednego łobuza. Nie mogłem ich dostać na czas i pomyślałem, że wrócę, jak tylko będą na składzie. Wyobraź sobie , że całkiem mi to wyleciało

z pamięci. Oczywiście, nikt niczego nie zauważył, bo przecież oni tam wyewoluowali i nie mieli pojęcia, że powinni być jakieś fingle. Jednak wyraźnie budziło to w nich głębokie psychiczne niepokoje. Gdzieś w głębi duszy wiedzieli, że czegoś im brakuje. Mniej więcej.

- Stwórca spowaźniał.
 - Trudno. Zresztą i tak nie mogę tu tkwić całymi dniami. Mówiłem już, że mam mnóstwo zleceń.
 - Mnóstwo? – zdziwił się Eryk. – Myślałem, że jest tylko jedno.
 - Nie jest ich cała masa. – Stwórca zaczął się rozpląwać. – To jest, widzisz, mechanika kwantowa. To nie tak, że zrobisz coś raz i masz spokój. Nie; stale się rozgałęziają. Nazywają to wielokrotnym wyborem; to jakby wtaczać pod górę taki wilki, wielki... no takie coś, co stale się stacza i trzeba zaczynać od nowa. Dobrze im mówić, że wystarczy zmienić jakiś drobny szczegół. Ale który...to jest prawdziwy zgryz. No, miło mi było was poznać. Gdybyście potrzebowali czegoś ekstra, jakiegoś dodatkowego księżycy albo coś...
 - Hej!
- Stwórca pojawił się znowu. Z lekkim zdziwieniem uniósł brew.
 - Co się teraz stanie? – zapytał Rincewind
 - Teraz? Przypuszczam, że niedługo zjawią się bogowie. Zwykle nie czekają, żeby się wprowadzić. Jak muchy nad... much nad... jak muchy. Myślę, że już sami zajmą się ludźmi i tak dalej. – Stwórca nachylił się Rincewindowi do ucha. – Ludzie nigdy mi jakoś nie wychodzą. Nie mogę sobie poradzić z rękami i nogami.
- Zniknął.Czekali.
 - Chyba teraz odszedł na dobre – stwierdził po chwili Eryk. – Był bardzo miły.
 - Po tej rozmowie z pewnością lepiej zrozumiesz,

dlatego świat jest taki, jaki jest – powiedział Rincewind.

- A co to jest mechanika kwantowa?
- Kobieta, która naprawia kwanty. Tak myślę.

- Rincewind spojrzał na swoją kanapkę z jajkiem i rzeżuchą. Wciąż brakowało w niej majonezu, a chleb już przemakał, ale miną tysiące lat, zanim zjawi się następna. Muszą powstać początki rolnictwa, udomowienie zwierząt, ewolucja noża kuchennego od jego prymitywnych krzemiennych przodków, rozwój technik mleczarskich...A jeśli zechce się ją przygotować jak należy, to również hodowla drzew oliwnych, pieprzu, wydobywanie soli, fermentacja octowa i opanowanie elementarnej chemii spożywczej. Dopiero wtedy świat zobaczy taką drugą kanapkę. Była wyjątkowa: biały prostokąt pełen anachronizmów, zagubiony i samotny w nieprzyjaznym świecie.

- Ugryzł ją mimo wszystko. Smakowała doskonale.
 - Nie rozumiem tylko – wyznał Eryk- dlaczego tu jesteśmy.
 - Zgaduję , że jest to problem filozoficzny – domyślił się Rincewind. – Zgaduję, że chcesz wiedzieć dlaczego znaleźliśmy się tutaj, u zarania kreacji, na tej plaży właściwie jeszcze nie używanej?
 - Tak. O to właśnie mi chodzi.
- Rincewind usiadł na kamieniu i westchnął.
 - Wydaje mi się to całkiem oczywiste – rzekł. – chciałeś żyć wiecznie.
 - Ale nic nie mówiłem o podróży w czasie. Sformułowałem to bardzo wyraźnie, żeby nie było żadnych sztuczek.
 - To nie sztuczka. Życzenie stara się pomóc. Pomyśl, to przecież jasne. “Wiecznie” oznacza pełen zakres czasu i przestrzeni. Wiecznie. Przez całą wieczność. Rozumiesz?
 - To znaczy, że trzeba zacząć tak jakby na Kwadracie Pierwszym?
 - Dokładnie.
 - Ale to przecież na nic! Miną całe lata, zanim ktoś

jeszcze się tu zjawi!

- Wieki – poprawił go Rincewind. – Milenia. Łona. A potem czekają cię różne wojny, potwory i reszta. Większa część historii jest dość przerażająca, kiedy się jej dokładnie przyjrzeć. Albo nawet niezbyt dokładnie.
- Ale przecież ja chciałem...chciałem żyć wiecznie od teraz – tłumaczył gorączkowo Eryk. – To znaczy od wtedy. Popatrz tylko, co to za miejsce. Żadnych dziewczyn. Żadnych ludzi. Nic do roboty w sobotni wieczór.
- Jeszcze tysiące lat nie będzie sobotnich wieczorów. Tylko wieczory.
- Masz natychmiast mnie stąd zabrać. Rozkazuję ci! Precz!
- Powiedz to jeszcze raz, a dostaniesz w ucho – zagroził Rincewind.
- Przecież wystarczy ci pstryknąć palcami!
- Nie zadziała. Miałeś swoje trzy życzenia. Przykro mi.
- To co mam teraz zrobić?
- No... Jeśli zobaczysz jak coś wypęła z morza i próbuje oddychać, mógłbyś mu wytłumaczyć, żeby dało sobie spokój.
- Myślisz pewnie, że to zabawne?
- Dość śmieszne, jeśli się zastanowić – przyznał Rincewind z nieruchomą twarzą.
- Przez lata ten żart pewnie ci się znudzi – uznał Eryk.
- Co?
- Przecież nigdzie się nie wybierasz, prawda? Musisz tu ze mną zostać.
- Bzdura! Ja...
- Rincewind rozejrzał się zrozpaczony. Ja co, pomyślał.
- Fale obmywały łagodnie brzeg - w tej chwili niezbyt silne, gdyż dopiero orientowały się w terenie. Ostrożnie zbliżał się pierwszy przypływ. Nie było jego śladów na piasku, tej falistej linii wyschniętych wodorostów i muszli, które pozwoliłyby zgadnąć, do czego może być zdolny. Powietrze pachniało czystością; pachniało

powietrzem, które, które nie poznało jeszcze wyziewów leśnego podłoża ani zawłości rozstrojonego systemu trawienno-Rincewind dorastał w Ankh – Morpork. Lubił powietrze, które bywało już tu i ówdzie, które poznało ludzi, w którym się żyło.

- Musimy wracać – oznajmił z naciskiem.
- Cały czas to powtarzam – odparł Eryk tonem nadwerężonej cierpliwości.

- Rincewind odgryzł jeszcze kęs kanapki. Wiele razy patrzył Śmierci prosto w twarz, a raczej Śmierć patrzył jemu prosto w tył gwałtownie oddalającej się głowy. Lecz nagle perspektywa wiecznego życia nie wydała mu się tak atrakcyjna. Oczywiście, mógłby poznać rozwiązania wielkich, ważnych problemów, na przykład jak powstało życie i wszystkich innych... Jednak jako sposób spędzania całego wolnego czasu, aż do kolejnej nieskończoności, nie wytrzymał on porównania ze spokojną wieczorną przechadzką ulicami Ankh.
 - Ale za to zyskał przodka. To już coś. Nie każdy przecież ma przodków. I co w takiej sytuacji uczyniłby jego przodek? Nie było go tutaj.
 - No tak, oczywiście, ale poza tym na pewno by... na pewno by użył swego strategicznie wyćwiczonego umysłu, by rozważyć dostępne narzędzia. To właśnie by zrobił.
 - Rincewind miał: obiekt pierwszy, jedna wpół zjedzona kanapka z jajkiem i rzeżuchą. Całkiem na nic. Wyrzucił ją. Miał: obiekt drugi, siebie. Odhaczył się na piasku. Nie był pewien, na co może się przydać, ale jeszcze się nad tym zastanowi. Miał: obiekt trzeci, Eryk. Trzynastoletni demonolog i epicentrum ataku trądziku młodzieńczego To chyba wszystko. Przez chwilę wpatrywał się w czysty, świeży piasek. Bezwiednie kreślił coś palcem. A potem powiedział spokojnie:
 - Eryku. Pozwól tu na chwilę...
- Fale były o wiele silniejsze. Załapały już o co chodzi z pływami i teraz sprawdzały, jak sobie radzą z przybojem Astfgl zmaterializował się w chmurze dymu.

- Aha! – zawołał, ale nie wypadło to najlepiej, gdyż nie było nikogo, kto mógłby go usłyszeć.
- Zauważył odciski stóp na piasku. Całe setki. Zakręcały tam i z powrotem, jakby coś prowadziło gorączkowe poszukiwania. I znikwały. Pochylił się. Trudno było je rozpoznać przy wszystkich tych śladach, falach i wietrze, ale na samej granicy morskiej piany znalazł wyraźne ślady magicznego kręgu
 - Astfgl wypowiedział klątwę, która piasek wokół przetopiła w szkło. I zniknął.
 - Przypływ nie przerwał pracy. Kawałek dalej ostatnia fala sięgnęła do zagłębienia między głazami. Nowiutkie słońce świeciło tu na nasiąknięte wodą resztki na wpół zjedzonej kanapki z jajkiem i rzeżuchą. Przewrócił ją prąd cofającej się fali. Tysiące bakterii znalazło się nagle w ognisku eksplozji smaku. Zaczęły mnożyć się jak szalone. Gdyby tylko było tam trochę majonezu... Całe życie mogłoby okazać się całkiem inne. Może bardziej pikantne, może z niewielkim dodatkiem śmietany. Podróże z pomocą magii mają poważne wady. Człowiek ma uczucie, że żołądek zostaje w tyle. A umysł wypełnia groza, ponieważ cel zawsze jest odrobinę niepewny. Nie znaczy to, że można trafić dokądkolwiek. “Dokądkolwiek” reprezentuje mocno ograniczony zakres możliwości w porównaniu z miejscami, do których może przenieść magia. Sama podróż jest łatwa. Prawdziwa sztuka to osiągnięcie celu, w którym – na przykład – uda się przeżyć we wszystkich czterech wymiarach równocześnie. Margines błędu był tak ogromny, że przybycie do całkiem zwyczajnej, wysypanej piaskiem jaskini wzbudziło niemal rozczarowanie. W ścianie jaskini tkwiły drzwi. Bez wątplenia były to drzwi złowieszcze. Wyglądały, jakby ich budowniczy przestudiował wszystkie drzwi ciemnic i lochów, po czym wziął się do pracy i stworzył – można powiedzieć – pełną wizualną symfonię. Bardziej przypominały portal. Na pokruszonym szczytowym łuku zostało wyryte jakieś pradawne, zapewne przerażające ostrzeżenie. Jednak odczytanie nie było mu przeznaczone, gdyż ktoś zakleił je jasnoczerwoną kartką z białym napisem “nie musisz być przeklętym, żeby tu pracować. Ale to pomaga!!!” Rincewind raz tylko na nią zerknął.

- Oczywiście umiem to przeczytać – stwierdził. – Ale zwyczajnie w to nie wierzę. Wielokrotne wykrzykniki – ciągnął dalej, kręcąc głową – są pewne oznaki chorego umysłu.
 - Obejrzał się. Rozjarzone linie magicznego kręgu Eryka zamigotały i zgasły.
 - Wiesz, nie jestem wybredny – powiedział. – Miałem tylko wrażenie, że obiecałeś zabrać nas z powrotem do Ankh. To nie jest Ankh. Poznaje po pewnych drobnych szczegółach, jak choćby migotanie czerwonych cieni na ścianach jaskini i daleki krzyki. W Ankh krzyki rozlegają się na ogół z bliższej odległości – dodał.
 - Dobrze, że w ogóle udało się go uruchomić – naburmuszył się Eryk. – Podobno magiczny krąg nie może działać na odwrót. W teorii oznacza to, że ty stoisz wewnątrz, a rzeczywistość przesuwa się dookoła. Bardzo dobrze sobie poradziłem. Rozumiesz – w głosie chłopca zawibrował entuzjazm – jeśli przepisać kodeks źródłowy i ... to najtrudniejsze... prefazować go przez wysoki poziom...
 - Tak, tak bardzo sprytne, co też jeszcze ludzie wymyślą – przerwał mu Rincewind. – Jest tylko pewien problem. Widzisz, całkiem możliwe, że trafiliśmy do Piekła.
 - Tak?
 - Brak reakcji Eryka trochę go zaskoczył.
 - No wiesz – dodał. – takie miejsce z demonami w środku.
 - Tak?
 - Na ogół przyjmuje się, że jest to dobre miejsce, żeby się w nim znaleźć.
 - Myślisz, że uda się im to wytłumaczyć?
 - Rincewind zastanowił się. Najkrócej mówiąc, nie był pewien, co mogą z nim zrobić demony. Ale wiedział, co mogą zrobić ludzie. A po całym życiu spędzonym w Ankh- Morpork, Piekło może się okazać wcale nie gorsze. A na pewno cieplejsze. Przyjrzał się kołatce. Była czarna i przerażająca, co zresztą nie miało znaczenia, gdyż była również

zawiązana, a zatem nie nadawała się do użytku. Obok niej, z wszelkimi znakami niedawnej instalacji, ktoś nie wiedział, co robi i nie chciał tego robić, w podrapanym drewnie tkwił czerwony przycisk. Rincewind na próbę dźgnął go palcem. Dźwięk, jaki się rozległ, mógł być kiedyś popularną melodią, może nawet napisaną przez zdolnego kompozytora, na którego przez jeden ekstatyczny moment spłynęła muzyka sfer. Teraz jednak zabrzmiał po prostu: bing – BONG – ding – DONG. Byłoby też niedbałym wykorzystaniem słownika nazwanie “koszmarną” istoty, która otworzyła drzwi. Koszmary wyglądają zwykle niezbyt sensownie i trudno jest komukolwiek wytłumaczyć, co jest tak przerażającego w fakcie, że czyjeś skarpety nagle ożyły, albo w gigantycznych marchewkach wyskakujących zza żywopłotu. Ta istota była tego rodzaju straszliwą istotą, jaka może zostać stworzona przez kogoś, kto długo siedzi i bardzo wyraźnie snuje potworne myśli. Miała więcej macek niż nóg, ale mniej ramion niż głów. Miała też identyfikator. Napis na nim głosił: “nazywam się Urglefloggah, Podmiot Otchłani i Odrażający Strażnik Wrót Strach. W czym mogę pomóc?” Nie była tym zachwycona.

- Czego? – warknęła.
- Rincewind wciąż czytał napis na identyfikatorze.
 - A w czym możesz pomóc? – zapytał osłupiały.
- Urglefloggah, trochę podobny do zmarłego tragicznie Quelcamisoatla, zgrzytnął niektórym zębami.
 - Witamy – zaczął tonem kogoś, kogo cierpliwie wyuczył roli ktoś inny, z rozpalonym do czerwoności drągiem w ręku. – Jestem Urglefloggah, Podmiot Otchłani i dzisiaj będę waszym przewodnikiem... Niech wolno mi będzie jako pierwszemu powitać was w naszych luksusowo wyposażonych...
 - Chwileczkę – wtrącił Rincewind.
 - ...pamiętając o waszej wygodzie...
 - Coś się tu nie zgadza – stwierdził Rincewind.
 - ... w pełni uwzględniając życzenia WASZE, naszych klientów... – kontynuował demon ze stoickim spokojem.
 - Przepraszam bardzo! – zawołał Rincewind.
 - ... możliwie przyjemnym – zakończył Urglefloggah.

Gdzieś z głębi gąszczu macek wydobył się głos podobny do westchnienia ulgi. Po raz pierwszy demon sprawiał wrażenie, że słucha. – Tak? Czego? – zapytał.

- Gdzie jesteśmy? – chciał wiedzieć Rincewind.
- Liczne usta wykrzywiły się radośnie
 - Rzyjcie, śmiertelni!
 - Co? Jesteśmy w stajni?
 - Drżycie i pełzajcie, śmiertelni! – poprawił się demon. – Bowiem zostaliście skazani na wiecz... – Przerwał nagle i jęknął cicho. – Czeka was krótka terapia korekcyjna – poprawił się znowu, wypływając kolejne słowa. – mamy nadzieję, że zdołamy uczynić ją przyjemną i pouczającą, zachowując w należytej powadze wszelkie prawa WAS, naszych klientów.
- Kilkorgiem oczy spojrzał na Rincewinda.
 - Okropne, prawda? – odezwał się normalniejszym głosem. – To nie moja wina. Gdyby to ode mnie zależało, mielibyście znowu te płonące cosie w czymś tam. Szybko i sprawnie
 - To jest Piekło, prawda? – spytał Eryk. – Widziałem obrazki.
 - Masz rację – przyznał żałośnie demon. Usiadł, a każdym razie złożył się w niepojęty sposób. – Kiedyś było inaczej. Osobista obsługa. Ludzie czuli, że się nimi interesujemy, że nie są numerami na liście, ale tymi... ofiarami. Mieliśmy bogate tradycje. Akurat Go to obchodzi. Ale po co opowiadam wam o swoich kłopotach. Macie dość własnych, skoro nie żyjecie i trafiliście tutaj. Nie jesteście przypadkiem muzykami?
 - Nie jesteśmy nawet mar... – zaczął Rincewind.
- Demon nie słuchał go, lecz ruszył ciężko wilgotnym korytarzem, machając, by szli za nim.
 - Gdybyście byli muzykami, naprawdę byście to znienawidzili. To znaczy znienawidzili bardziej. Ściany przez cały dzień wygrywają muzykę. Znaczy,

On nazywa to muzyką. Nie mam nic przeciwko jakiejś niezłej melodyjce... Czemuś, przy czym można powrzeszczyć. Ale to nie to. Słyszałem, że powinniśmy mieć najlepsze melodie, więc czemu słuchamy czegoś, co brzmi jakby ktoś uruchomił pianino, a potem sobie poszedł i je zostawił?

- Chciałem zaznaczyć...
- I jeszcze doniczki. Nie zrozumcie mnie źle, przyjemnie jest mieć tu coś zielonego. Chłopcy mówią czasem, że te rośliny nie są prawdziwe. Ale ja myślę, że muszą być, bo kto przy zdrowych zmysłach zrobiłby roślinę, która wygląda jak ciemnozielona skóra i cuchnie jak zdechły leniwiec. On twierdzi, że nadają pomieszczeniom przyjazny i zachęcający wygląd. Przyjazny i zachęcający! Widziałem już twardych ogrodników, którzy załamywali się i płakali! Mówię wam, twierdzili, że wszystko, co z nimi potem zrobimy, to zamiana na lepsze!
- Martwi jeszcze nie... – odezwał się Rincewind, usiłując wbić słowa w szczelinę nieskończonego monologu stwora. Nie zdążył jednak.
- Automat do kawy, owszem, automat jest niezły. Muszę przyznać. Dotąd topiliśmy tylko ludzi w jeziorach kociego moczu, ale nie zmuszaliśmy ich, żeby go kupowali na kubki
- Nie jesteśmy martwi! – krzyknął Eryk.
 - Urglefloggah zatrzymał się niepewnie.- Oczywiście, że jesteście – rzekł. Inaczej by was tu nie było. Nie wyobrażam sobie, żeby tu przyszli żywi ludzie. Nie przetrwaliby nawet pięciu minut. – Otworzył kilka paszcz, demonstrując kolekcję kłów. – Hua hua – dodał. – Gdybym tu złapał żywych ludzi...Rincewind nie na darmo przeżył długie lata w paranoidalnych kompleksach Niewidocznego Uniwersytetu. Czuł się niemal jak w domu. Odruchy zadziały z niewyobrażalną precyzją.
 - Chcesz powiedzieć, że nikt cię nie uprzedził?
 - Trudno było stwierdzić, że wyraz twarzy Urglefloggaha się

zmienił, ponieważ trudno byłoby ustalić, która z jego części jest wyrazem twarzy. Stanowczo jednak otoczyła go aura nagłej, urażonej niepewności.

- O czym nie uprzedził? – zapytał.
- Rincewind obejrzał się na Eryka.
 - Można by się spodziewać, że zawiadomią, kogo trzeba. Nie sądzisz?
 - Zawiadomią o ...aargh! – Eryk chwycił się za kostkę.
 - To całe nowoczesne kierownictwo...- Twarz Rincewinda emanowała oburzeniem i troską. – Idą z postępem, wprowadzają te zmiany, te nowe zasady, ale czy zapytają ludzi, tworzących szkielet...
 - ...egzoszkielet... – poprawił go demon.
 - ... czy inną wapienną lub chitynową strukturę organizacji? – dokończył płynnie Rincewind. Czekał niecierpliwie, ponieważ wiedział, co za chwilę nastąpi.
 - Akurat – rzekł Urglefloggah. – Za bardzo są zajęci czytaniem notatek służbowych, ot co.
 - Uważam, że to obrzydliwe.
 - A wiesz – podjął Urglefloggah. – Nie zabrali mnie na wycieczkę Klubu 18 000- 30 000. Powiedzieli, że jestem za stary i będę psuł zabawę.
 - Do czego dochodzi na tamtym świecie – westchnął Rincewind ze współczuciem.
 - I nigdy tutaj nie schodzą. – Demon, przygarbił się. – Nigdy mi nic nie mówią. O tak, bardzo ważne zajęcie, pilnować tej przeklętej bramy. Bardzo ważne. Akurat.
 - Słuchaj – przerwał mu Rincewind. – Może szepnąłbym komuś słówko...
 - Siedzę tu na dole na okrągło, a ich widuję tylko...
 - Może pogadamy z kim trzeba?
- Demon pociągnął kilkoma nosami równocześnie.
 - A mógłbyś? – zapytał.
 - Z przyjemnością – obiecał Rincewind.
- Urglefloggah poweselał trochę, ale na wszelki wypadek ni za

bardzo.

- Na pewno nie zaszkodzi – mruknął.
- Rincewind zebrał się na odwagę i poklepał stwora po tym, co – miał rozpaczliwą nadzieję – było plecami.
- Nie martw się o to – powiedział.
- To bardzo uprzejmie z twojej strony.
- Rincewind spojrzał na Eryka ponad roztrzęsioną górą macek.
- Musimy już iść – rzekł. – Nie możemy się spóźnić na spotkanie.
- Nad głową demona machał do chłopca gorączkowo. Eryk wyszczerzył zęby.
- A tak, spotkanie – powiedział.
- Odeszli szerokim tunelem. Eryk zachichotał histerycznie.
- Czy teraz uciekamy? – spytał.
- Teraz idziemy spokojnie – odparł Rincewind. – Zwykły spacer. Przede wszystkim należy zachowywać się nonszalancko. Najważniejsze jest wyczucie czasu.
- Spojrzał na Eryka. Eryk spojrzał na niego. Za nimi Urglefloggah wydał z siebie dźwięk z rodzaju wreszcie-to-wszystko-zrozumiałem.
- Mniej więcej teraz? – spytał Eryk.
- Mniej więcej teraz będzie odpowiednie. Tak.
- Zaczęli uciekać.
- Piekło okazało się całkiem inne, niż oczekiwał Rincewind, choć dostrzegał oznaki tego, czym było kiedyś: jakiś wypalony żużel w kącie, ślad ognia na suficie... Panował upał – żar, jaki powstaje, kiedy powietrze grzeje się w piekarniku przez lata...
- Piekło, jak ktoś zasugerował, to inni.
- Ten fakt wciąż zaskakiwał wielu pracujących tu demonów, którzy zawsze uważali, że Piekło to wbijanie w ludzi ostrych przedmiotów, spychanie ich do jezior krwi i tak dalej. To dlatego, że demony – podobnie jak większość ludzi – nie pojmują różnicy między ciałem i duszą. Problem w tym, co zauważał już chmary piekielnych władców, że istnieją pewne granice bólu, jaki można zadać duszy za pomocą – na przykład – rozżarzonych do czerwoności obcęgow. Nawet całkiem złe i zepsute dusze mają zwykle dość rozumu, by uświadomić sobie, że wobec braku

umocowanych do nich ciał i odpowiednich zakończeń nerwowych, nie ma właściwie powodu – poza siłą przyzwyczajen – do odczuwania nieznośnych cierpień. Więc przestawały. Demony dalej robiły swoje, ponieważ tępa i bezmyślna głupota jest częścią tego fachu, ale skoro nikt nie cierpiał, nie bawiło ich to specjalnie i cała robota okazała się bezsensowna. I tak mijały kolejne wieki bezsensu. Astfgl wykorzystał, nie całkiem tego świadom, zupełnie nowe podejście. Demony potrafią przemieszczać się między wymiarami. I w trakcie takiej podróży Astfgl znalazł całkiem przyzwoity odpowiednik jeziora krwi, nadający się dla duszy. Uczcie się od ludzi, powtarzał piekielnej arystokracji. Uczcie się od ludzi. To zdumiewające jak wiele można się od nich nauczyć. Weźmy dla przykładu, pewien rodzaj hotelu. Jest to prawdopodobnie angielska wersja amerykańskiego hotelu, ale funkcjonująca z tym szczególnym angielskim geniuszem, który potrafi wziąć coś amerykańskiego i usunąć z niego jedyny sensowny element. W ten sposób pojawiły się powolne bary szybkiej obsługi, brytyjskie country – and – western oraz takie właśnie hotele. Jest to normalny dzień roboczy. Bar, a właściwie stół z jasnoróżowym blatem i ustawionym w rogu bezsensownym wiaderkiem na lód, otworzą dopiero za parę godzin. Dodajmy jeszcze deszcz i niech jedyną stacją odbieraną przez tutejszy telewizor będzie walijski Kanał Czwarty, pokazujący typowy nieskończony Eisteddfod, ludowy festiwal z Pant-y-gyrdl. W hotelu jest tylko jedna książka, pozostawiona przez poprzednią ofiarę. To jedna z tych, gdzie nazwisko autora na okładce wydrukowane jest wypukłymi złotymi literami, o wiele większymi niż tytuł. Zapewne jest na niej również róża i pocisk. Brakuje połowy strony. A jedyne kino w mieście wyświetla coś z napisami i kolorowymi parasolkami. Potem zatrzymujemy czas, ale doświadczenie płynie dalej, aż wydaje się, że sam kurz na dywanie podnosi się wolno i wypełnia mózg, a ustach pojawia się smak starej protezy. I trwa to długo, dłużej, wiecznie. To dużo dłużej niż od teraz do otwarcia baru. Następnie wydestylujmy to. Oczywiście, na świecie Dysku brakuje pewnych wymienionych powyżej elementów, ale nuda jest zjawiskiem uniwersalnym, a Astfgl uzyskał w piekle jej wyjątkową odmianę, to znaczy taką nudę, że a)

trzeba za nią płacić i b) trwa wtedy, kiedy człowiek teoretycznie powinien się nieźle bawić. Groty otwierające się przed Rincewindem pełne były mgły i gustownych ścianek działowych. Od czasu do czasu spomiędzy palm w doniczkach rozbrzmiewały wrzaski znudzenia; na ogół jednak panowało to straszliwe otepiające milczenie ludzi, którzy od samego jądra aż po skórę zostają zredukowani do poziomu twarogu.

- Nie rozumiem – stwierdził Eryk. – Gdzie są kotły? Gdzie płomienie? Gdzie... – dodał z nadzieją – sukkuby?
- Rincewind zerknął na najbliższy eksponat.
- Na brzegu płytkiej jamy siedział ponury demon, którego identyfikator stwierdzał, że jest to Azaremoth, Fetor Psiego Oddechu, a ponadto wyrażał nadzieję, że czytelnik będzie miał przyjemny dzień. W dole leżał głaz, a do niego przykuty był człowiek. Obok więźnia przysiadł, bardzo z wyglądu znużony, ptak. Rincewind sądził, że papuga Eryka miała ciężką dolę, ale tego ptaka los najwyraźniej przekreślił przez Wyżymaczkę Życia. Sprawiał wrażenie, jakby najpierw został oskubany, a potem wetknięto mu pióra z powrotem. Ciekawość przezwyciężyła zwykłe tchórzostwo maga.
- O co tu chodzi? – zapytał. – Co się dzieje z tym człowiekiem?
- Demon przestał machać nogami nad jamą. Nie pomyślał nawet, by spytać, skąd się tu wziął Rincewind. Założył, że nie znalazłby się tutaj, gdyby nie został uprawniony. Alternatywa była wprost niewiarygodna
 - Nie wiem, co takiego zrobił – odparł. – Ale kiedy zacząłem tu pracować, za karę leżał przykuty do skały, a orzeł przylatywał codziennie i wydziobywał mu wątrobę. Standard.
 - Ale teraz chyba go nie atakuje.
 - Nie. To się zmieniło. Teraz przylatuje codziennie i opowiada o swojej operacji przepukliny. Przyznaję, że to skuteczne – przyznał ze smutkiem demon. – Ale ja nie nazwałbym tego torturą.

- Rincewind odwrócił się szybko. Zdążył jeszcze dostrzec wyraz śmiertelnej agonii na twarzy ofiary. To było straszne. Czekwały ich jednak rzeczy jeszcze gorsze. W kolejnej jamie kilkoro zakutych w łańcuch i jęczących głośno ludzi musiało oglądać serię obrazków. Stojący przed nimi demon czytał z kartki:
 - ... a to jak byliśmy w Piątym Kręgu; nie widać, gdzie mieszkaliśmy, trochę na lewo stąd; a tutaj ta zabawna para, którą tam spotkaliśmy; nie uwierzycie, ale mieszkali na Lodowych Równinach Zguby, drzwi w drzwi...
 - Eryk spojrzał na Rincewinda.
 - On im pokazuje swoje obrazki z wakacji? – zapytał zdumiony.
 - Obaj wzruszyli ramionami i odeszli, kręcąc głowami.
 - Natrafili na niewysokie wzgórze. U jego stóp leżał okrągły głaz. Obok siedział człowiek w kajdanach, z rozpaczą kryjący twarz w dłoniach. Krępy zielony demon stał przy nim i ugiął się pod ciężarem gigantycznej księgi.
 - O tym słyszałem – oświadczył Eryk. – On wziął i sprzeciwił się bogom, czy coś w tym rodzaju. Musi wpychać głaz na górę, chociaż ten ciągle się stacza.
 - Demon podniósł głowę.
 - Ale najpierw – zapiszczał - musi wysłuchać Przepisów Niebezpieczeństw i Braku Higieny Pracy dotyczących Podnoszenia i Przenoszenia Ciężkich Przedmiotów.
-
- **Dokładniej:** 93 tomu Komentarzy. Same Przepisy zajmowały kolejne 1440 tomów. To znaczy ich część I.
- **Rincewind** zawsze lubił nudę. Cenił ją choćby dlatego, że występowała tak rzadko. Miał wrażenie, że te nieczęste chwile, kiedy nie był ścigany, więziony czy uderzany, to te, kiedy był zrzucany z różnych rzeczy. I wprawdzie długie spadanie w dół zawsze wyglądało dość podobnie, trudno by jednak nazwać je “nudnym”. Jedyne okresy, który potrafił wspominać z pewną przyjemnością, to krótki okres pracy na stanowisku pomocnika bibliotekarza na Niewidocznym Uniwersytecie. Nie miał tam wiele do roboty poza czytaniem książek,

dbaniem o niezakłócone dostawy bananów i z rzadka pomoc przy wyjątkowo opornym tomie zakłóć. Dopiero teraz uświadomił sobie, co sprawiało że nuda wydawała mu się atrakcyjna. To świadomość, że tuż za rogiem dzieją się gorsze rzeczy, rzeczy niebezpiecznie ekscytujące, a on sam nie ma z nimi nic wspólnego. Aby nuda była przyjemna, musi istnieć coś, z czym można ją porównać. Podczas gdy tutaj widział tylko nudę na kolejnej nudzie, raz po raz zwijającą się w pierścień, aż stawała się ciężkim, rozpędzonym młotem, paraliżującym wszelkie myśli i palny, rozbijającym wieczność w cos podobnego do flaneli.

- To potworne – oświadczył.
- Mężczyzna w kajdanach uniósł poszarzałą twarz.
 - Mnie to mówisz? – mruknął. – Kiedyś lubiłem wpychać tę kulę na szczyt. Można było przystanąć i pogadać, popatrzeć, co się dzieje, wypróbować różne chwyt i w ogóle. Byłem atrakcją turystyczną, ludzie pokazywali mnie palcami... Nie mówię, że to przyjemne, ale dawało jakiś cel w życiu po śmierci.
 - A ja mu pomagałem – wtrącił demon głosem ochrypłym od nagłego wzburzenia. – Pomagałem ci czasem, nie? Powtarzałem różne plotki i takie tam...I podtrzymywałem na duchu, kiedy kamień się staczał. Mówiłem: “Ops, znowu się łobuz poturlał”, a on odpowiadał “A niech go”. Przeżyliśmy razem, nie ma co. Piękne to były czasy. - Wytarł nos.
- Rincewind odchrząknął.
 - To nie do wytrzymania – westchnął demon. – Kiedyś byliśmy tu szczęśliwi. Nikogo za bardzo nie męczyłem, a poza tym tworzyliśmy zgrany zespół.
 - W tym rzecz – zgodził się potępieniec w kajdanach. – Człowiek wiedział, że jeśli tylko nie podpadnie, ma szansę kiedyś stąd wyjść. A wiecie, że raz w tygodniu przerywamy to i muszę chodzić na zajęcia praktyczne?
 - To chyba miło – wtrącił niepewnie Rincewind.
- Mężczyzna zmrużył oczy.
 - Wyplatanie z wikliny? – jęknął.
 - Siedzę tu osiemnaście stuleci, od małego chochlika –

burknął demon. – Poznałem swój fach. Poznałem dobrze. Osiemnaście tysięcy ciężkich lat przy widłach... A teraz to. Czytać...

- Fala dźwiękowa wprawiła w wibrację całe Piekło.
 - Ojoj – pisnął demon. – To On. Wrócił. I jest wściekły. Lepiej się nie wychylać.
- I rzeczywiście, we wszystkich kręgach Hadesu demony i potężniejsi jęknęli chórem, powracając do swych osobistych piekieł. Zimny pot zlaź człowieka w kajdanach.
 - Posłuchaj Vizzimth – powiedział. – czy nie moglibyśmy tak no... przeoczyć jednego czy dwóch paragrafów?
 - To moja praca – odparł zbolalym głosem demon. – Wiesz przecież, że On sprawdza. To więcej warte, niż tu zarabiam... – Skrzywił się smętnie w stronę Rincewinda i delikatnie poklepał szponem szlochającego więźnia. – Wiesz co? – zaproponował łagodnie. – Pominę kilka podpunktów.
- Rincewind ujął Eryka za bezwładne ramię.
 - Lepiej już chodźmy – powiedział cicho.
 - Straszne – stwierdził Eryk, kiedy się oddalili. – takie rzeczy psują złu opinię.
 - Hm – mruknął Rincewind.
- Nie podobało mu się, że On wrócił i że jest wściekły. Jeśli cokolwiek tak ważnego, że zasługiwało na wielkie litery, gniewało się w pobliżu Rincewinda, zwykle gniewało się na niego.
 - Skoro tak dużo wiesz o Piekło – powiedział – to może pamiętasz, jak się stąd wydostać?
- Eryk poskrobał się w głowę.
 - Pomaga, jeśli ktoś jest dziewczyną – stwierdził – Zgodnie z efebiańskimi mitami, pewna dziewczyna schodzi tu każdej zimy.
 - Żeby się rozgrzać?
 - Z opowieści wynika, że ona raczej stwarza zimę. Coś w tym rodzaju.
 - Znałem takie kobiety. – Rincewind z mądrą miną pokiwał głową.

- Albo pomaga, jeśli ktoś ma coś do grania.
- To chyba łatwiejsze. Moglibyśmy rzucać monetą...
- Do grania muzyki. Najlepiej lirę.
- Aha.
- A kiedy, kiedy... kiedy się już wyjdzie, nie można oglądać się za siebie... I chyba trzeba jakoś uwzględnić owoce granatu, bo... bo inaczej człowiek zamieni w kawał drzewa.
- Nigdy się nie oglądam – zapewnił stanowczo Rincewind.. – To podstawowa zasada ucieczki: nie oglądać się.
- Coś zahuczało za nimi.
 - Zwłaszcza kiedy słyszysz głośny hałas – mówił dalej Rincewind. – Jeśli chodzi o tchórzostwo, właśnie to odróżnia ludzi od baranów. Ludzie uciekają natychmiast.
- Chwycił poły swej szaty. Potem biegli i biegli, aż usłyszeli znajomy głos.
 - Hej tam, chłopaki! Stójcie! Zdumiewające, gdzie to można spotkać starych przyjaciół!
 - A inny głos dodał:
 - Jakimtam? Jakimtam?
- - Gdzie oni są?
 - Pomniejsi książęta Piekieł zadrżeli. To będzie straszne. Może nawet skończyć się notatką.
 - Nie mogli uciec! – sapał Astfgl. – Są gdzieś tutaj. Dlaczego nie możecie ich znaleźć? Czy otaczają mnie niekompetentni durnie?
 - Panie...
 - Książęta obejrżeli się.
 - Mówcą był lord Vassenego, jeden z najstarszych demonów. Nikt nie wiedział, jak jest stary. Ale jeśli nawet nie on wymyślił grzech pierworodny, to on wykonał jedną z pierwszych kopii. Gdyby oceniać samą jego przedsiębiorczość i przewrotność

umysłu, mógłby wręcz uchodzić za człowieka. Zresztą zwykle przyjmował postać starego, dość smutnego adwokata, który wśród przodków miał orła. Zaś każdy demoniczny mózg pomyślał: biedny Vassenego, tym razem przeholował. Tym razem nie skończy się na notatce służbowej, tym razem będzie to pełna nagana z kopiami do wszystkich departamentów i wpisem do akt. Astfgl odwrócił się powoli, jakby stał na talerzu gramofonu. Powrócił do swej typowej postaci, choć teraz nastąpiło to na wyższym poziomie emocjonalnym. Sama myśl o żywych ludziach w jego krainie sprawiała, że wibrował z furii niczym struna skrzypiec. Ludziom nie można ufać. Nie można na nich polegać. Ostatni człowiek, jakiego tu wpuszczono, zrobił Piekłu fatalną reklamę. A co gorsza wobec ludzi Astfgl odczuwał kompleks niższości. Teraz pełna moc jego gniewu zogniskowała się na starym demonie.

- Masz coś do powiedzenia? – zapytał.
 - Chciałem tylko podkreślić, panie, że dokładnie przeszukaliśmy wszystkie osiem kręgów i jestem przekonany...
 - Milczeć! Myślicie, że nie wiem, co się dzieje? – warknął Astfgl, obchodząc dookoła wyprężonego starca. – Widziałem ciebie... i ciebie też, i ciebie... – trójzęb wskazał kilku innych arystokratów. – Spiskowaliście po kątach, zachęcaliście do buntu! Ja tu rządę, jasne? I żądam posłuszeństwa!
- Vassenego zbladł. Jego patrycjuszowskie nozdrza rozszerzyły się jak dysze wlotowe odrzutowca. Wszystko w nim mówiło: ty nadęta kreaturo, oczywiście, że zachęcaliście do buntu; przecież jesteście demonami. A ja sam budziłem wściekłość w umysłach młodych książąt, kiedy ty zachęcałeś koty, żeby zostawiły martwe myszy pod łóżkiem. Ty małostkowy, biurokratyczny tępaku! Wszystko w nim to mówiło oprócz głosu, który zabrzmiał całkiem spokojnie.
 - Nikt w to nie wątpi, sire.
 - Więc szukajcie jeszcze raz! A demon, który ich wpuścił, ma zostać ciśnięty do najgłębszej otchłani i rozerwany na strzępy. Czy to jasne?
 - Stary Urglefloggah, sire? – Vassenego uniósł brwi. –

- zachował się niemądrze, to prawda, ale jest lojalnym...
- Czyżbyś chciał mi się sprzeciwić?
 - Vassenego zawahał się. Chociaż prywatnie uważał króla za okropnego władcę, to jednak – jak wszystkie demony – głęboko wierzył w hierarchię. Zbyt wiele młodych demonów szukało dróg awansu, by najstarsi lordowie otwarcie demonstrowali metody królobójstwa i przewrotów – niezależnie od prowokacji. Vassenego miał swoje plany i nie zmierzał teraz wystawiać ich na szwank.
 - Nie, sire – zapewnił. – Ale to oznacza, sire, że wrota strachu nie będą...
 - Natychmiast!
 - przed wrotami strachu stanął Bagaż. Nie da się opisać, do jakiej wściekłości może doprowadzić dwukrotne przebiegnięcie prawie całej długości continuum czasoprzestrzennego, a багаż już na początku był dość zirytowany. Przyjrzał się zamkom. Przyjrzał się zawiasom. Cofnął się trochę i zdawało się, że czyta nowy napis nad bramą. Być może rozżłościł go jeszcze bardziej. Lecz u Bagażu trudno było cokolwiek stwierdzić dokładnie, ponieważ i tak cały swój czas spędzał – można tak to określić – za horyzontem zdarzeń wrogości. Wrota do Piekła były prastare. Nie tylko czas i gorąco wypaliły drewno w coś przypominającego ciemny granit. Wrota wchłaniały lęk i mroczną złą wolę. Były czymś więcej niż dwoma przedmiotami wypełniającymi otwór w ścianie. Były dostatecznie świadome, by niewyraźnie zdawać sobie sprawę z tego, co może je czekać w bliskiej przyszłości. Widziały, jak Bagaż odchodzi po piasku, rozprostowuje nogi, przykuca. Szczęknął zamek. Sworznie cofnęły się pospiesznie. Ciężkie sztaby wyskoczyły z zaczepów. Wrota otworzyły się gwałtownie, uderzając o ściany korytarza. Bagaż rozluźnił się. Wyprostował. Ruszył przed siebie. Niemal się puszył. Przeszedł między naprężonymi zawiasami, a kiedy był już prawie po drugiej stronie, odwrócił się i wymierzył bliższemu skrzydłu wrót solidnego kopniaka. Był to ogromny kołowrót. Niczego nie napędzał, a jego łożyska zgrzytały głośno. Stanowił realizację jednego z bardziej natchnionych pomysłów Astfgla i nie służył do niczego. Miał jedynie pokazywać kilkuset ludziom, że jeśli swoje życie uważali za pozbawione sensu, to niczego jeszcze nie widzieli.

- Nie możemy tkwić tu przez wieczność – stwierdził Rincewind. – Musimy coś zrobić. Jeść, na przykład.
- To jedna z największych zalet bycia duszą potępioną – odparł Ponce da Quirm. – Znikają wszystkie dawne cielesne troski. Oczywiście, pojawia się całkiem nowy zestaw trosk, ale zawsze uważałem, że w każdej sytuacji należy szukać jasnych stron.
- Jakimtam! – wrzasnęła papuga, siedząca mu na ramieniu.
- To dziwne – zastanowił się Rincewind. – Nie wiedziałem, że zwierzęta mogą iść do Piekła. Chociaż doskonale rozumiem, dlaczego w tym przypadku zrobili wyjątek.
- Wypchaj się, magu!
- Nie rozumiem, dlaczego nas tutaj nie szukają – wtrącił Eryk.
- Siedź cicho i maszeruj – odparł Rincewind. – Dlatego, że są głupi. Nie mogą sobie wyobrazić, że robilibyśmy coś takiego.
- Tak, I pod tym względem mają rację. Ja też nie mogę sobie wyobrazić, że robimy coś takiego.
- Rincewind podeptał chwilę. Obserwując przebiegające obok gromady szukających go demonów.
 - A więc nie znalazłeś Źródła Młodości? – zapytał czując, że powinien podtrzymać rozmowę.
 - Ależ znalazłem – zawołał urażony da Quirm. – czyste źródło ukryte w głęboko w dżungli. I napiłem się z niego. A raczej pociągnąłem sobie solidnie, to chyba lepsze określenie.
 - I...?
 - Zdecydowanie działało. Tak. Przez pewien czas wyraźnie czułem, że młodnieję.
 - Ale... – Rincewind szerokim gestem wskazał da Quirma, kołowrót i wysokie wieże Piekła.
 - Ach – westchnął starzec. – To właśnie jest najbardziej denerwujące. Tyle czytałem o Źródle... Można by pomyśleć, że we wszystkich tych księgach ktoś przynajmniej wspomni kluczową informację na temat wody.
 - To znaczy?

- Pić po przegotowaniu. To wszystko wyjaśnia, prawda? Szkoda.
- Bagaż biegł truchtem po spiralnej drodze łączącej kręgi Piekła. Nawet w normalnych okolicznościach nie zwracałby pewnie na siebie uwagi. Jeśli już, to był wręcz mniej zdumiewający niż większość tutejszych lokatorów.
 - To nudne – poskarżył się Eryk.
 - O to właśnie chodzi – wytłumaczył mu Rincewind.
 - Nie powinniśmy się tu chować, tylko szukać wyjścia!
 - Może i tak, ale stąd nie ma wyjścia.
 - Owszem, jest – zabrzmiał głos za plecami Rincewinda.
 - Był to głos człowieka, który widział już wszystko i wcale mu się nie podobało.
 - Lavaeolus? – zdumiał się Rincewind.
 - Jego przodek maszerował tuż za nim.
 - Wrócisz cały i zdrowy – rzekł z goryczą Lavaeolus.- Tak powiedziałeś. Ha! Przez dziesięć lat jedna wpadka po drugiej. Mogłeś uprzedzić kumpla.
 - Ehm... – wykrztusił Eryk. – Nie chcieliśmy zmieniać biegu historii.
 - Nie chcieliście zmieniać biegu historii – powtórzył wolno Lavaeolus. Spuścił głowę i spojrzał na drewniane szczeble kołowrotu. – Aha. To dobrze. To wszystko tłumaczy. Lepiej się czuję z tą świadomością. W imieniu biegu historii chciałbym wam serdecznie podziękować.
 - Przepraszam – wtrącił Rincewind.
 - Tak?
 - Mówiłeś, że jest jakaś droga na zewnątrz.
 - A tak. Tylne wyjście.
 - A gdzie?
 - Lavaeolus na chwilę przestał deptać i wskazał poza mglistą pustkę.
 - Widzisz ten łuk. O tam?
 - Rincewind wyteńczył wzrok.
 - Mniej więcej – odparł. – Czy to ono?

- Tak. Długa, stroma wspinaczka. Ale nie wiem, dokąd prowadzi.
 - Jak się o nim dowiedziałaś?
 - Zapytałam demona. – Lavaeolus wzruszył ramionami. – Na wszystko jest prosty sposób.
 - Cała wieczność minie, zanim tam dojedziemy – oświadczył Eryk. – To po drugiej stronie. Nigdy nam się nie uda.
 - Rincewind kiwnął głową i zasmucony podjął nieskończony marsz. Po kilku minutach podniósł głowę.
 - Czy nie zauważyłaś, że idziemy chyba szybciej?
 - Eryk obejrzał się. Bagaż wszedł na pokład i teraz próbował ich dogonić. Astfgl stanął przed zwierciadłem.
 - Pokaż mi to, co widzą – rozkazał.
 - *Tak panie.* Król przez chwilę wpatrywał się w wirujący obraz.
 - Powiedz, co to znaczy – zażądał.
 - *Jestem tylko lustrem, panie. Skąd mogę wiedzieć?* Astfgl warknął gniewnie.
 - A ja jestem władcą Hadesu – oznajmił i machnął trójzębem. – I gotów jestem zaryzykować następne siedem lat pecha.
 - Zwierciadło rozważyło wszelkie możliwości. *Być może słyszę zgrzyty, panie, spróbowało.*
 - I?
 - *Czuję dym.*
 - Żadnego dymu. Wyraźnie zakazałem palenia ognia. Bardzo staromodna koncepcja. I psuła nam opinię.
 - *Mimo to, panie.*
 - Pokaż mi... Hades.
- Zwierciadło naprawdę się postarało. Władca zdążył jeszcze zobaczyć, jak kołowrót z rozżarzonymi do czerwoności łożyskami zsuwa się z podstawy i toczy przez krainę umarłych ze zwodniczą powolnością lawiny. Rincewind wisiał na poprzecznym pręcie i patrzył, jak szczeble przemykają pod nim z prędkością, która z pewnością spaliłaby podeszwy sandałów, gdyby okazał się nierozsądny i opuścił nogi. Umarli jednak przyjmowali to wszystko z pogodną obojętnością

ludzi, którzy wiedzą, że najgorsze mają już za sobą. Rozbrzmiewały wołania “Podajcie watę cukrową!” Słyszał jak Lavaeolus chwali przyczepność kołowrotu i tłumaczy da Quirmowi, że gdyby zbudować pojazd kładący przed sobą drogę, tak jak właściwie robi to teraz Bagaż, a potem pokryć go pancerzem, to wojny byłyby mniej krwawe, kończyłyby się o połowę szybciej i wszyscy mogliby więcej czasu spędzać wracając do domów. Bagaż nie wygłaszał żadnych komentarzy. Wiedział, że jego właściciel wisi o kilka stóp przed nim, więc nie zwalniał. Może nawet zauważył, że droga trwa przez czas dziwnie długi, ale to w końcu problem Czasu. I tak, wyrzucając czasem na bok jakąś potępioną duszę, podskakując, wirując i miażdżąc niekiedy jakiegoś pechowego demona, kołowrót toczył się niepowstrzymanie. Lord Vassenego uśmiechnął się.

- Teraz – powiedział. – Nadszedł czas.

- Inne starsze demony zachowywały się nieco lękliwie. Oczywiście, były zaprawione w złych uczynkach, zaś Astfgl stanowczo nie był Jednym-Z-Nas, był natomiast najobrzydliwszym parweniuszem, który zdołał wśliznąć się na stanowisko... To prawda. Ale... ale to... Istnieją być może uczynki zbyt...

- Bierzcie przykład z ludzi – przedrzeźniał król Vassenego. – Sam mi kazał uczyć się od ludzi. Mnie! Co za bezczelność! Co za arogancja! Ale ja obserwowałem, to prawda. Uczyłem się. I planowałem.
- Twarz miał straszną. Nawet książęta najniższych rzędów, słynący z nikczemności, musieli odwracać głowy. Diuk Drazometh Cuchnący z wahaniem podniósł szpon.
 - Ale jeśli tylko zacznie podejrzewać...- rzekł. – Wiecie, ma okropny temperament. Te notatki służbowe...
- Zadrzał.
 - A co takiego zamierzamy uczynić? – Vassenego niewinnie rozłożył ręce. – Komu się stanie krzywda? Zapytuję was, bracia: komu się stanie krzywda?
- Zacisnął palce. Kostki mu pobielały pod cienką skórą poznaczoną niebieskawymi żyłkami. Przyglądał się pełnym zwątpienia twarzom.
 - A może wolicie kolejną naganę? – zapytał.

- Twarze zmieniły się, gdy lordowie jeden po drugim podejmowali decyzje, jakby padały kolejne kostki domina. Istniały sprawy, co do których nawet oni byli zgodni. Koniec z naganami, koniec z dokumentacją konsultacyjną, koniec z podnoszącymi na duchu przemówieniami do całej załogi. Owszem, żyli w Piekło, ale gdzieś trzeba wyznaczyć granicę. Hrabia Beezlemoth podrapał się w jeden z trzech nosów.
 - I ludzie gdzieś tam wymyślili to całkiem sami? – zapytał. – Nie przekazaliśmy im żadnych, no wiecie, wskazówek?
- Vassenego pokręcił głową.
 - Ich własne dzieło – oświadczył z dumą, jak oddany wychowawca, który widzi, że jego najlepszy uczeń kończy studia z wyróżnieniem.
- Hrabia wpatrzył się w nieskończoność.
 - Myślałem, że to my mamy być potworami – szepnął z podziwem.
- Stary diuk pokiwał głową. Długo czekał na tę chwilę. Gdy inni rozmawiali o gwałtownej, krwawej rewolucji, on tylko zaglądał do świata ludzi, patrzył i zachwycał się. Ten Rincewind okazał się niezwykle użyteczny. Zdołał bez reszty ściągnąć na siebie uwagę króla. Wart był wszelkich wysiłków. A przecież, dureń jeden, nadal wierzy, że to jego palce wykonują całą robotę! Trzy życzenia, też mi coś...
 -
 - I tak stało się, że gdy Rincewind wydostał się z odłamków kołowrotu, zobaczył stojącego nad sobą Astfgla, króla demonów, lorda Piekieł i władcę Otchłani. Astfgl przeszedł już przez wczesne stadium furii, teraz dryfował w ciepłej lagunie wściekłości, gdzie głos jest spokojny, maniery uprzejme i wyszukane, i tylko ślady śliny w kącie ust zdradza szalejące we wnętrzu inferno. Eryk wyczołgał się spod złamanej belki i podniósł głowę.
 - O rany – powiedział.
 - Władca demonów zakręcił młynka trójzębem. Narzędzie nie wyglądało już zabawnie. Wyglądało jak ciężki metalowy pręt z trzema strasznymi ostrzami na końcu. Astfgl uśmiechnął się

i rozejrzał.

- Nie – powiedział najwyraźniej do siebie. – Nie tutaj. To miejsce nie jest dostatecznie publiczne. Chodźcie!
- Dłoń chwyciła każdego z nich za ramię. Nie mogli się opierać, jak dwa nie identyczne płatki śniegu nie mogą opierać miotaczowi ognia. Nastąpiła chwila dezorientacji i Rincewind znalazł się w największej sali wszechświata. Był to wielki hol. Można by w nim budować rakiety księżycowe. Władcy Piekła znali może takie słowa jak “subtelność” i “skromność”. Słyszeli jednak, że jeśli posiada się te cechy, należy je okazywać. Wywnioskowali zatem, że jeśli się ich nie posiada, należy je okazywać tym bardziej. Czego im brakowało, to gustu. Astfagl zrobił, co mógł, ale nawet on nie zdołał wiele dodać do wstępnego fatalnego ustawienia, gryzących się kolorów i strasznej tapety. Wstawił kilka stolików i powiesił plakat z corridy, ale ginęły one w ogólnym chaosie; nowa makata na oparciu Tronu Strachu podkreślała jedynie jego co bardziej drażniące płaskorzeźby. Obie ludzkie istoty padły na podłogę.
 - A teraz... – zaczął groźnie Astfagl.
 - Lecz jego głos zatonął w nagłym wybuchu entuzjazmu.
 - Demony wszelkich postaci i rozmiarów wypełniły prawie całą salę, wspinały się na ściany, a nawet zwisały z sufitu. Demoniczna orkiestra uderzyła w wybrane struny rozmaitych instrumentów. Rozciągnięty od ściany do ściany transparent głosił “Nasz szef nieh rzyje! Chura!” Astfagl zmarszczył brwi w nagłym odruchu paranoi, kiedy podszedł do niego Vassenego, a za nim inni lordowie. Twarz starego demona rozciągała się w stuprocentowym szczerym uśmiechu. Niewiele brakowało, by król wpadł w panikę i uderzył trójzębem, lecz Vassenego zdążył wyciągnąć rękę i poklepać go po ramieniu.
 - Dobra robota! – zawołał.
 - Co?
 - Doskonałą!
 - Astfagl zerknął w dół, na Rincewinda.
 - aha – powiedział. – No tak. – Odchrząknął. – To drobiazg – zapewnił i wyprostował się. – Widziałem, że nie dajecie rady, więc sam...
 - Nie ci – rzucił pogardliwie Vassenego. – To sprawy

- trywialne. Nie, sir. Mówiłem o twoim wyniesieniu...
- Wyniesieniu? – nie rozumiał Astfgl.
 - Awansie, sire!
 - Głośne okrzyki zerwały się w grupie młodych demonów, które wznosiłyby okrzyki z każdego powodu.
 - Awansie? Ale przecież...Przecież jestem królem – protestował słabo Astfgl. Czuł, że z wolna przestaje się orientować w sytuacji.
 - Phi – parsknął głośno Vassenego.
 - Phi?
 - Istotnie, sire. Król? Król? Sire, chyba mogę w imieniu nas wszystkich powiedzieć, że to żaden tytuł dla takiego demona jak ty. Demona, sire, którego opanowanie spraw organizacyjnych i zrozumienie priorytetów, którego głęboka wiedza o właściwych funkcjach naszego istnienia, którego... jeśli wolno, sire...niezwykłe możliwości intelektualne przeniosły nas w nowe, większe głębie!
 - Astfgl mimowolnie się napuszył.
 - No wiesz... – zaczął.
 - A jednak przekonujemy się, że nawet na swym stanowisku nie zapominasz, sire, o najdrobniejszych szczegółach naszej pracy – dodał Vassenego, spoglądając z góry na Rincewinda. – Co za poświęcenie! Co za oddanie!
 - Astfgl wyprężył się z godnością.
 - Naturalnie, zawsze uważałem...
 - Rincewind podparł się na łokciach i pomyślał: uważaj, za tobą...
 - I dlatego – rzekł Vassenego, promieniejąc jak brzeg zastawiony latarniami morskimi – na swym posiedzeniu Rada postanowiła... i to, niech będzie mi wolno dodać, sire, postanowiła jednomyślnie... ustanowić całkiem nowe wyróżnienie, by uhonorować twe niedoścignione sukcesy.
 - Ważność właściwie prowadzonej dokumentacji jest... jakie wyróżnienie? – zapytał Astfgl. Pierwsze

piskorze podejrzeń przemknęły oceanami samozadowolenia.

- Stanowisko, sire, Najwyższego Dożywotniego Prezydenta Piekła.
- Orkiestra zagrała znowu.
 - Z własnym gabinetem. O wiele większym niż ta komórka, którą przez tyle lat musiałeś znosić, sire. A raczej: panie prezydencie.
- Orkiestra wtrąciła kolejną nutę. Demony czekały.
 - Czy będą tam... palmy w doniczkach? – zapytał z wolna Astfgl.
 - Sady. Plantacje. Dżungle!
- Zdawało się, że Astfgl zajaśniał delikatnym wewnętrznym blaskiem.
 - A dywany? Wiecie takie od ściany do ściany...
 - Ściany trzeba było przesunąć, aby zmieściły się wszystkie, sire. Puszyste? Żyją w nich całe plemiona Pigmejów i wciąż nieodgadli, dlaczego w nocy ciągle świeci się światło!
- Oszołomiony król pozwolił objąć się przyjacielskim ramieniem i poprowadzić wśród wiwatujących tłumów. Wszelkie myśli o zemście rozwiały się bez śladu.
 - Zawsze marzyłem o takiej specjalnej rzeczy do robienia kawy – wymruczał, gdy padły ostatnie bastiony jego samokontroli.
 - Zainstalowano tam całą fabrykę, sire! I rurę głosową, sire, żebyś mógł przekazywać polecenia swoim podwładnym. Oraz najnowocześniejszy kalendarz, dwa eony na każdej stronie, i jeszcze takie...
 - Kolorowe pisaki. Zawsze uważałem...
 - Pełna tęcza, sire – huczał tubalnie Vassenego. – Ale udajmy się tam bez zwłoki, sire, gdyż podejrzewam, że twój błyskotliwy umysł nie może się doczekać zmierzenia z niezwyklej wagi zadaniami, jakie cię czekają, Sire.
 - Z pewnością, z pewnością! Najwyższy czas się nimi zająć... – Po zarumienionej twarzy Astfgła przemknął

wyraz lekkiego zakłopotania. – Te niezwyklej wagi zadania...

- Nie mniej niż kompletna, pełna, badawcza i dogłębna analiza naszej roli, funkcji, priorytetów celów, sire!
- Vassenego odstąpił o krok. Lordowie demonów wstrzymali oddech. Astfgl zmarszczył brwi. Wszechświat jakby zwolnił. Gwiazdy zatrzymały się na moment na swoich trajektoriach.
- I planowanie długofalowe? – spytał w końcu Astfgl.
- Ma najwyższy priorytet, sire, co zechciałeś od razu dostrzec ze swą zwykłą przenikliwością – zapewnił szybko Vassenego.
- Lordowie demonów odetchnęli. Pierś Astfgla rozrosła się o kilka cali.
- Naturalnie potrzebny mi będzie specjalny personel, by uformować...
- Uformować! O to właśnie chodzi! – zawołał Vassenego, który dał się chyba nieco ponieść entuzjazmowi.
- Astfgl zerknął na niego podejrzliwie, ale w tej właśnie chwili znowu zagrała orkiestra. Ostatnie słowa, jakie usłyszał Rincewind, gdy króla wyprowadzono już z sali, brzmiały:
 - W celu właściwej analizy informacji będę potrzebował...
 - Władca zniknął.
 - Pozostałe demony widząc, że zabawa na dzisiaj chyba już się skończyła, krążyły po sali i dryfowały na zewnątrz przez wielkie drzwi. Najsprytniejszym z nich zaczynało już świtać, że wkrótce znowu zahuczą płomienie.
 - Nikt jakoś nie zwracał uwagi na dwie ludzkie istoty. Rincewind szarpnął za szatę Eryka.
 - A teraz uciekamy, tak? – domyślił się Eryk.
 - Teraz odchodzimy – odparł stanowczo Rincewind. – Nonszalancko, spokojnie i tego...
 - Szybko?
 - Prędko się uczysz, co?
- Jak wiadomo, prawidłowo wykorzystane trzy życzenia powinny uszczęśliwić największą możliwą liczbę osób. I to właśnie się

zdarzyło. Tezumeni byli szczęśliwi. Kiedy żadne wznoszone modły nie zdołały skłonić Bagażu do powrotu i zdeptania ich nieprzyjaciół, wytruli wszystkich kapłanów i rozpoczęli próby z oświeconym ateizmem. Nadal mogli zabijać tylu ludzi co poprzednio, ale nie musieli w tym celu tak wcześnie wstawać. Mieszkańcy Tsortu i Efebu byli szczęśliwi.

Przynajmniej ci, którzy piszą i występują w dramatach historycznych, a tylko to się naprawdę liczy. Ich długa wojna dobiegła końca i mogli powrócić do właściwych zajęć cywilizowanych narodów, to znaczy szykować się do następnej. Mieszkańcy Piekła byli szczęśliwi, a w każdym razie szczęśliwsi niż przedtem. Płomienie znowu migotały jasno i te same, znajome tortury zadawano ciałom eterycznym, całkiem niezdolnym do ich odczuwania. A potępieni zyskali świadomość, która czyni trudy tak łatwymi do zniesienia: absolutnie pełną wiedzę, że może być gorzej. Lordowie demonów byli szczęśliwi. Stali przed magicznym zwierciadłem i popijali ceremonialnie drinki. Od czasu do czasu któryś z nich podejmował ryzyko klepnięcia Vassenego w ramię.

- Pozwolimy im odejść, sire? – spytał diuk, obserwując w ciemnej tafli lustra wspinające się figurki.
- Och... chyba tak – rzucił Vassenego niedbale. – Warto pozwolić, by rozeszło się kilka opowieści. Pour encourager le... pour encourager... żeby wszyscy usiedli i zwrócili na nas uwagę. Poza tym byli użyteczni, w pewnym sensie.
- Zajrzał w głębię swego kielicha i w milczeniu napawał się sukcesem.
- A jednak... jednak w otchłani swego przewrotnego umysłu miał wrażenie, że słyszy cienki głosik, który z biegiem lat zabrzmiał mocniej – głosik prześladowający wszystkich władców demonów, wszędzie: uważaj, za tobą... Trudno powiedzieć, czy Bagaż był szczęśliwy, czy nie. Jak dotąd złośliwie zaatakował czternaście demonów, a trzy z nich zapędził do ich własnej jamy wrzącego oleju. Wkrótce będzie musiał ruszyć za swoim panem, ale na razie się nie spieszył.
- Jeden z demonów rozpaczliwie próbował chwycić się krawędzi. Bagaż ciężko przydepnął mu palce.
- Stwórca wszechświata był szczęśliwy. Tytułem eksperymentu wprowadził właśnie do zamieci siedmioramienny płatek śniegu i nikt nie zauważył. Kusiło go, żeby jutro sprawdzić

maleńkie, delikatnie wykrystalizowane litery alfabetu.
Alfabetyczny Śnieg. To może być przebój.

- Rincewind i Eryk byli szczęśliwi.
 - Widzę błękitne niebo! – zawołał chłopiec.- Jak myślisz, gdzie stąd wyjdziemy? - dodał. –I kiedy?
 - Gdziekolwiek – odarł Rincewind. – Kiedykolwiek.
- Przyjrzał się szerokim stopniom, po których się wspinali. Były niezwykle; każdy zbudowano z wielkich kamiennych liter. Na przykład ten, na którym właśnie stanął, głosił: “Chciałem Jak najlepiej”.A następny: “ Myślałem, Że Będziesz Zadowolona”.Eryk stanął na: “Dla Dobra Dzieci”.
- Dziwne, prawda? – powiedział. – Dlaczego tak je zrobili?
- To pewnie miały być dobre chęci – wyjaśnił Rincewind
- Szli przecież drogą do Piekła, a demony to jednak tradycjonaści.I chociaż wszystkie są nieodwracalnie zaprzędane złu, to nie są przecież takie złe.
- Rincewind zstąpił z “Jesteśmy Firmą Równych Szans” i przez ścianę, która zrosła się za nim, wyszedł na świat.
- Musiał przyznać, że mogło być o wiele gorzej.
- Prezydent Astfgl siedział w plamie światła w swym wielkim, mrocznym gabinecie. Raz jeszcze dmuchnął w rurę.
 - Halo? – zawołał. – Halo!
- Jakoś nikt mu nie odpowiadał.Dziwne.
- Sięgnął po kolorowy pisak i spojrzał na stosy przestudiowanych dokumentów. Wszystkie te akta, które trzeba przeanalizować, rozważyć, ocenić i zaopiniować, potem sformułować odpowiednie dyrektywy organizacyjne, naszkicować podstawowe wytyczne strategii, a po właściwym namyśle przerobić je znowu...
- Znowu sprawdził rurę.
 - Halo! Halo!
- Nikogo. Ale nie ma się o co martwić. Pracy nie zabraknie. Jego czas jest zbyt cenny, by go marnować.Oparł stopy o gruby, ciepły dywan.Spojrzał z dumą na palmy w doniczkach.

Puknął w skomplikowaną konstrukcję z chromowanego drutu i kulek,

która zaczęła się kołysać i stukać kierowniczo.

Stanowczym, zdecydowanym ruchem odkręcił pióro.

Zapisał: Na jakim rynku działamy???

Pomyślał chwilę, po czym starannie zapisał pod spodem: Działamy na rynku potępienia!!!

I to także było szczęście. Swego rodzaju.